MIEJSKA ODZNAKA HONOROWA ZASŁUŻONY DLA MIASTA ŁODZI

19 Rok XVI (808)

CENA 1.50 ZŁ

13. 5. 73

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

RYSZARD BINKOWSKI

Pociąg chybotał, piwo chlupotało w żołądkach i mąciło we łbach, a on, 19-letni jasnowłosy chłopak, wracający z odsiadki za włamanie, szarpnął po piątą butelkę fulla.

— Byle tych parę miesięcy — powiedział — pójdę do woja i będzie spokój. A napić się muszę, bo do radości nie jadę. Miał stary, czego chciał, wciąż mi wmawiał, że gówno ze mnie będzie, na bandytę wyrosnę, więc stało się. A jeszcze przedtem to mnie tłukł bez przerwy, raz dusił, aż mi gały wylazły na wierzch, gonił ze szpadlem i co tylko. I zawsze był w porządku, nie karany, choć periodycznie chla i matce, która jest na stanowisku, grozi, że wyrżnie wszystkich umysłowych, bo on sam ślusarz. Książek nie da czytać, ale młodszą siostrę wysłał do ogólniaka i nic jej nie da robić, chucha na nią, więc siostrzyczka sobie pozwala. Z nikim nie chce gadać, wieje z domu, wagaruje, ma takie głupie wybuchy, chce się truć, a kiedyś to mi rozkręciła motor, ale tak lekko, żebym się nie zabił. Jak ojciec wrogi do umysłowych, tak ona do chłopaków; skarży na wszystkich, nienawidzi ich, ale chciałaby chłopaka, bo coś tam ze sobą robi po nocach...

W dwa dni po tej rozmowie w pociągu trafiłem na trop 15-letniej dziewczyny, która gdzieś w Polsce chodzi od czterech tygodni na „świrze", a zaczęło się od lekomanii, matka płacze, bo przychodzą kartki z pisanymi krwią dziękczynnymi hymnami od boga Mansona.

Dowiedziałem się później, że gdyby wcześniej postawiono diagnozę i zastosowano profilaktykę, być może nie doszłoby do ostateczności. Jest to jednak sprawa złożona, przeto zasięgnąłem opinii ludzi kompetentnych: odwiedziłem jedną z poradni wychowawczo-zawodowych.

Poradni w dzielnicy Łódź-Górna, podobnie jak innym, przyświeca hasło: „Zapewniajmy dzieciom radosne dzieciństwo" oraz pamiętne słowa profesor Grzegorzewskiej: „Nie ma kaleki, jest człowiek".

Dyrektor Jacek Weber powiedział:

— Placówki tego typu zostały powołane w celu niesienia pomocy rodzicom, nauczycielom i dzieciom. Pracujemy w zespole, w skład którego wchodzą nauczyciele, psychiatrzy, psycholodzy, pediatrzy. Prowadzimy kompleksowe badania, w wyniku których wykrywamy przyczyny trudności w nauce u dzieci, rozpoznajemy odchylenia od normy w rozwoju umysłowym, pomagamy rodzicom i szkole w rozwiązywaniu trudności wychowawczych itp. Sprawą doboru zawodu zajmują się natomiast poradnie okręgowe.

Poradnictwo wychowawcze dotyczy profilaktyki i tzw. „ratownictwa". Profilaktyka to m.in. badanie dzieci w ramach akcji zapisów do klasy pierwszej oraz opieka nad nimi w klasach I—IV, podczas której istnieje możliwość uzupełnienia niektórych braków fragmentarycznych, a więc wad wzroku, słuchu, wymowy, poziomu graficznego.

— Czy jest to aż tak istotne?

— Oczywiście! Przecież drobne wady fizyczne sprawiają poważne trudności w nauce, te z kolei rodzą trudności wychowawcze, a czym się to kończy, wiadomo... Istotne jest więc po-

Dalszy ciąg na str. 3

„Niektórzy malarze przekształcają słońce w żółtą plamę, ale są inni, którzy dzięki swojej sztuce i inteligencji przekształcają żółtą plamę w słońce".

PICASSO

„Tylko człowiek mądry mógłby się tak upierać przy swoim szaleństwie".

BLAKE

„Pabla Picassa określa się często jako najważniejszego z malarzy, ale trudno doprawdy powiedzieć, co sugeruje to piekielne słówko „ważny". Czy ważny malarz jest siłą rzeczy dobrym malarzem, człowiekiem, którego poczucie piękna znalazło wyraz w formach, które będą trwałe, ponieważ posiadają wartości uniwersalne? Czy też ważny malarz jest malarzem prze-

ANDRZEJ GRUN

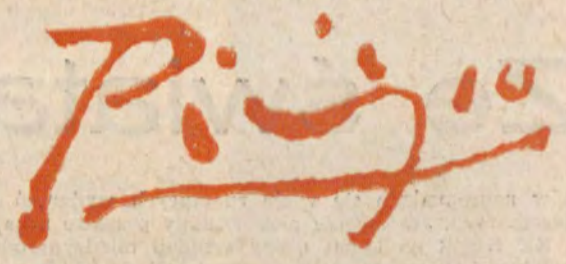

mawiającym do wąskiego jury snobów, które w każdej niemal epoce zapewnia przychylny sąd wszelkim dziwacznym i skandalicznym ucieczkom od banalności? Niełatwo odpowiedzieć na te pytania, a w przypadku Pabla Picassa zmien-

Dalszy ciąg na str. 6

KONKURS NA OPISANIE OSIEDLA (II NAGRODA)

WACŁAW PAWLAK

KARIERA PRZEDMIEŚCIA

Dąbrowa. Pierwsza wzmianka o osiedlu odnosi się do 1799 roku. W tym czasie właściciel dóbr chojeńskich, Benedykt Górski, wyciął las w części swego majątku, graniczącej z wsią Zarzew i na karczowisku leśnym założył kolonię rolną Dąbrowę. Zasiedlili ją osadnicy niemieccy, zwani olendrami.

Znaczne pokłady gliny na terenie wsi, jak również duże zapotrzebowanie na cegłę dla rozbudowującej się Łodzi sprawiły, że pod koniec zeszłego stulecia założono tu kilka cegielni, między innymi Meissnera i Abla. Nieco później powstała fabryczka kwasu solnego, zwana potocznie „zajzajerką" i wreszcie w 1900 roku — przędzalnia Haeblera. W sześć lat później Dąbrowa została przyłączona do Łodzi. Liczyła już wtedy kilka tysięcy mieszkańców.

W latach międzywojennych wyrobiska po wydobytej glinie zostały rozparcelowane na działki budowlane. Nabywali je głównie tramwajarze zatrudnieni w pobliskiej zajezdni, a także lepiej zarabiający robotnicy z łódzkich fabryk. Oszczęd-

Dalszy ciąg na str. 4

Wiesław Garboliński — „STARA ŁÓDŹ" — 1963 r.

UWAGA, CZYTELNICY! UWAGA, CZYTELNICY!

Już od następnego numeru rozpoczynamy druk powieści w odcinkach.

Uwzględniamy tym samym Wasze zapotrzebowanie czytelnicze, wielokrotnie podpowiadane nam w listach, jak i własne przeświadczenie o pożytkach płynących z lektur popularnych „książek do czytania", które jeszcze nie znalazły się na naszym rynku wydawniczym.

A więc już od następnego numeru — powieść odcinkowa.

Autorka: ELIZABETH KATA. Tytuł: OKRUCH BŁĘKITU.

OKRUCH BŁĘKITU to historia inna niż wszystkie, niebanalna i piękna. Jej bohaterów, których pozornie wszystko dzieli, łączy głęboka i niezwykła miłość. Autorka sugestywnie i wnikliwie odtwarza ich niecodzienne przeżycia, trzyma czytelnika w nieustającym napięciu i zmusza do zajęcia własnego stanowiska wobec przedstawionego dramatu. Oparty na tej powieści film **W CIENIU DOBREGO DRZEWA** zdobył swego czasu ogromną popularność na Zachodzie.

OKRUCH BŁĘKITU to nie **LOVE STORY,** to nie **SUPER-MEWA.** To coś znacznie więcej! To prawdziwy obraz współczesnej Ameryki, to wstydliwie skrywana druga strona medalu konsumpcyjnego społeczeństwa. To prawda nieraz okrutna, bezwzględna i brutalna, będąca często wynikiem niemocy, braku szans na znalezienie swego miejsca w społeczeństwie, którym kierują wilcze prawa. To jednocześnie obraz szczątkowego człowieczeństwa, w którym tli się iskierka nadziei, ów tytułowy „okruch błękitu", który bohaterka powieści Sleena Darcey przywołuje z dzieciństwa.

Elizabeth Kata napisała swą książkę z myślą o czytelnikach gazet. Każdy odcinek to jeden rozdział powieści. I ten rytm w naszej publikacji będzie utrzymany, co powinno zadowolić nawet tych Czytelników, którzy nie lubią dawkowanej lektury.

A więc już za tydzień **OKRUCH BŁĘKITU.** Powieść napisana zwartym i jędrnym językiem, powieść oparta głównie na potoczystym dialogu, z wartko płynącą akcją, z dramatycznymi i szokującymi wydarzeniami — i nieoczekiwanym zakończeniem.

Już za tydzień powieść odcinkowa! Drogi Czytelniku, zapamiętaj naszą propozycję. Nie zapomnij o niej powiedzieć swoim przyjaciołom i znajomym. I oni i my będziemy Ci za to wdzięczni.

A więc już za tydzień szukajcie w „Odgłosach" pierwszego i drugiego rozdziału powieści Elizabeth Kata **OKRUCH BŁĘKITU.**

— Naprawdę Rose-ann ma czarne serce?

— Tak — odpowiedział.

— A jakiego koloru jest twoje serce, dziadku? — — Prosiłam Boga, żeby jego nie było czarne.

— Moje serce?

— Tak. Jaki kolor ma twoje serce?

— A jaki kolor najbardziej lubisz?

— Najbardziej lubię błękit.

— To właśnie moje serce jest błękitne.

— Błękitne! — ucieszyłam się. — A wiesz, jaki jest kolor mojego serca, dziadku? — Postanowiłam, że jeśli moje serce okaże się czarne, to się zabiję. Czekałam, wstrzymując oddech, by się przekonać, czy on wie.

— Twoje serce, Sleena, ma biały kolor — dziadek otworzył drzwi na korytarz.

Przypomniałam sobie, że znany mi jest jeszcze jeden kolor. Biały! Byłam podniecona.

— Czy nie sądzisz, że moje serce jest trochę czerwone i trochę białe?

— A chciałabyś, żeby tak było, Sleena?

— Tak.

— To tak jest.

— Na pewno?

— Na pewno. A teraz siedź cicho! — I dziadek wyszedł, żeby się upić. Cieszyłam się, że jego serce jest niebieskie, a moje czerwono-białe. Wiedziałam, że trudno mi będzie znieść, żeby Rose-ann, z tym swoim czarnym sercem, dotykała mnie czy coś dla mnie robiła.

UWAGA, CZYTELNICY! UWAGA, CZYTELNICY!

W następnym numerze dalszy ciąg „serialu" Andrzeja Makowieckiego — „Grandologia"

Ze świata

Znów nagromadziło się wiele znaczących wydarzeń międzynarodowych. Jeszcze nie przebrzmiały prasowe echa plenum KC KPZR na temat oceny sytuacji międzynarodowej i działalności w tej dziedzinie Związku Radzieckiego, a już uwagę komentatorów zwróciło 1-majowe przemówienie Leonida Breżniewa. — ZSRR idzie konsekwentnie drogą pokoju i współpracy międzynarodowej — oto główny kierunek niemal wszystkich komentarzy. Opinia światowa, zróżnicowana przecież ideologicznie i klasowo, zaliczyła to plenum do wydarzeń największej wagi, gdyż w całej rozciągłości potwierdziło ono leninowską ideę pokojowego współistnienia. Ostatnie lata przyniosły liczne dowody na to, że żyjemy w okresie przechodzenia do skutecznych pokojowych rozwiązań. Są one zbyt znane, aby je wyliczać. Wszystkie je możemy zawdzięczać radzieckiej polityce — pryncypialnej i elastycznej zarazem, opartej o program pokoju XXIV Zjazdu KPZR.

„Kierunek polityki zagranicznej Związku Radzieckiego — czytamy w artykule „Trybuny Ludu", wyrażającym opinię naszej partii — w pełni odpowiada... interesom i stanowisku całej socjalistycznej wspólnoty, w tym naszego narodu. Wystarczy przypomnieć, że to w toku socjalistycznej ofensywy pokoju zrealizowany został jeden z podstawowych polskich postulatów narodowych — uznanie w układach, zawartych przez Związek Radziecki i Polskę z Niemiecką Republiką Federalną, ostatecznego charakteru wszystkich granic europejskich, w tym granicy PRL na Odrze i Nysie".

Jest w tym aktywnym działaniu na rzecz pokoju osobisty wkład sekretarza generalnego KC KPZR — Leonida Breżniewa. Z dużym zadowoleniem przyjęliśmy więc wiadomość, że jego nazwisko znalazło się na liście tegorocznych laureatów Nagród Leninowskich za utrwalanie pokoju między narodami. Dał temu wyraz w depeszy gratulacyjnej Edward Gierek.

W realizacji programu pokoju aktywnie uczestniczy Polska. I znów nie trzeba wyliczać faktów, aby to udowodnić. Przynosi je każdy tydzień. W ostatnim do najważniejszych zaliczyć trzeba wizytę I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka i towarzyszących mu osób w Jugosławii. Kiedy komentarz oddajemy do druku wizyta jeszcze trwa. Ale już pierwsze dni potwierdziły jej przyjacielską atmosferę.

„Czujemy się u Was i wśród Was, jak w domu bliskich przyjaciół — powiedział Edward Gierek w czasie spotkania z Broz-Tito. — Utwierdza mnie to w przekonaniu, z którym wyjeżdżałem z Warszawy, iż wizyta ta, rozmowy, które już zaczęliśmy, będą przyjacielskie i pożyteczne, że służyć będą dobrze dalszemu zacieśnianiu stosunków przyjaźni i współpracy między Polską a Jugosławią".

Polskę i Jugosławię łączy nie tylko wspólna walka o zwycięstwo nad hitleryzmem w latach II wojny światowej i utrwalenie pokoju w okresie powojennym. Łączy nas budownictwo socjalizmu, zbieżność poglądów na rozwój sytuacji międzynarodowej i aktywne współdziałanie w realizacji programu pokoju, a także szybko rozwijające się stosunki gospodarcze. Jak zauważyła lubliańska gazeta „Delo" — między Polską a Jugosławią istnieje tylko jedna otwarta sprawa: jak poprawić i rozszerzyć współpracę. Temu celowi służy właśnie rewizyta Edwarda Gierka w Jugosławii. (Czytelnicy zapewne pamiętają, że przed rokiem J. Broz-Tito gościliśmy w Warszawie).

Przejawem aktywnych działań naszej dyplomacji była w ostatnich dniach wizyta ministra Spraw Zagranicznych PRL — w Szwecji. Opublikowany po niej komunikat stwierdza, że przedmiotem rozmów min. S. Olszowskiego w Sztokholmie było wiele problemów międzynarodowych oraz stosunki bilateralne. Z kręgu omawianych spraw odnotujemy: polską inicjatywę zwołania konferencji dyplomatycznej w sprawie rybołówstwa i ochrony zasobów żywych Bałtyku oraz fińską inicjatywę w sprawie przygotowania konferencji, której tematem byłaby ochrona środowiska morskiego Bałtyku. Wyrażono przekonanie, że obie konferencje odbędą się szybko.

Skoro mówimy o wizytach — podkreślmy, że zapowiedziany na 18 maja wyjazd Breżniewa do Bonn żywo komentowany jest w prasie europejskiej. Już teraz próbuje się ocenić znaczenie radziecko-zachodnioniemieckich rozmów dla naszego kontynentu. Gazety radzieckie przypominają, że ludność NRF w wrześniowych wyborach opowiedziała się za kontynuowaniem polityki normalizacji stosunków ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, która teraz może wejść w nową fazę.

Rozmowy Breżniew — Brandt będą miały miejsce w dwa tygodnie po spotkaniu kanclerza NRF z prezydentem Nixonem, w czasie którego stwierdzono, iż dotychczasowe rezultaty polityki odprężeniowej zachęcają do „kontynuowania obranej drogi rokowań i pozytywnego odnoszenia się do konstruktywnego stanowiska Wschodu" oraz po rozmowach Kissingera w Moskwie. Te ostatnie, jak podają agencje, obejmowały wszystkie wielkie problemy sytuacji międzynarodowej.

Tymże poświęcona była znaczna część orędzia prez. Nixona o polityce zagranicznej, które przesłał on do Kongresu. Omawiając ubiegłoroczne rozmowy w Moskwie — prezydent podkreślił, że osiągnięto wówczas porozumienia w sprawie podstawowych zasad, kierujących naszymi stosunkami. W ten sposób otworzyły się nowe dziedziny dla przyszłej współpracy i rokowań. Era negocjacji dopiero się zaczęła, a już osiągnięto istotny postęp.

Aby przegląd wydarzeń ostatnich dni był jak najpełniejszy — dodajmy jeszcze, że w Helsinkach rozpoczęła się czwarta sesja konsultacji 32 państw europejskich oraz USA i Kanady. Jak wiemy, w toku tych wielostronnych rozmów, przygotowuje się europejską konferencję na temat bezpieczeństwa i współpracy. Zadaniem obecnej sesji jest ostatecznie zredagować porządek dzienny konferencji, który zostanie przedłożony ministrom do zaakceptowania. Przerwa w konsultacjach (6. IV. — 25. IV.) wykorzystana została do licznych rozmów, które — jak oceniają komentatorzy — dały nowy bodziec fińskim dyskusjom.

W. SŁAWSKI

PS.
W felietonie z poprzedniego tygodnia pisaliśmy oczywiście o Plenum KC KPZR a nie KC PZPR. Za błąd przepraszamy.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stale współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD SŁAWSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

stawienie diagnozy, koniecznej w planowaniu dalszej pomocy. Łatwiej jest bowiem zapobiegać niż ratować: profilaktyka może przebiegać wolniej, w ratownictwie trzeba działać szybko. Jakże jednak trudno odwrócić to, co już się dokonało...

Uzyskałem jeszcze sporo mądrych, fachowych informacji, wiele z nich starałem się uzupełnić przykładami wyjętymi z życia i doszedłem do wniosku, że wszystkie te poczynania zmierzają do jednego celu, a mianowicie do zapobiegania owemu „wypadaniu z toru". Bo wróćmy jeszcze do wspomnianej wyżej profilaktyki. Każda matka i ojciec patrzy w swoje dziecko jak w półboga, dla rodziców dziecko jest geniuszem. Pragną je wcześniej wysłać do szkoły, choć malec mówi:

— Tata chce, a ja nie chcę.

Ale idzie. Potem okazuje się, że aspiracje rodziców nie pokrywają się z możliwościami dziecka, bo jest ono niedojrzałe pod względem emocjonalnym. Rodzi się nerwica szkolna, dzieciak wymiguje się od pójścia do szkoły, „paluszek i główka", kłamstwa, wagary, ucieczki z domu i łańcuszek się zamyka...

— Ty cholerny nygusie, co z ciebie wyrośnie?!

— Pani, ten pani syn, to „zdolny leń".

— Mój nigdy nic nie umie. Nie chce się uczyć i już!

Wszyscy wokół pomstują, leją, obrzydzają życie, więc chłopak lub dziewczyna macha się w inną stronę: wchodzi najpierw do bramy na peta, później do ulicznego gangu, wreszcie puszcza się w rajzę. Tam mu lepiej, tam go docenią.

I po co to wszystko? Przecież to guzik prawda, że on nie chce się uczyć, że nygus. Jest bowiem bardzo duża statystycznie grupa dzieci, które wolniej pracują i myślą, co wcale nie znaczy, iż nie chcą się uczyć! Trzeba o tym wiedzieć, bo z nich właśnie wyrastają najbardziej wartościowi pracownicy, sumienni i zdyscyplinowani, bijący na głowę „geniuszy", którzy szybko, bez wysiłku i byle jak potrafią odwalić robotę.

Dobrze więc, że nad tymi sprawami czuwają poradnie, że w porę wychwytują braki, ustawiają rodziców i szkołę, służą pomocną radą.

Istnieje w poradnictwie taki pośredni dział, zwany brzydko selekcją, co kojarzy się z doborem naturalnym. A przecież nie o to idzie. Jest to po prostu sprawa rozpoznania odchyleń od normy i wykluczenia niedorozwoju, aby dzieci poprzez szkolnictwo specjalne mogły w przyszłości wejść w normalne życie i z pożytkiem pracować dla kraju.

Spotkałem kiedyś siedemnastoletniego chłopaka po budowlance, który powiedział, że przyjdzie mu chyba kraść.

— Dlaczego?

— Lekarz przemysłowy mnie odwalił i roboty w swoim zawodzie nie znajdę!

Jakże więc ważna jest sprawa poradnictwa zawodowego. Najpierw preorientacja, podczas której uczniowie klas V—VII poznają różnymi ciekawymi metodami zawody, w których mogliby podjąć pracę. Niejednemu spodoba się jakiś zawód, zapali się do niego, lecz gdy dojdzie do orientacji, czyli badań w poradni, czy kandydat rzeczywiście nadaje się do danej szkoły zawodowej, być może przeżyje małe rozczarowanie.

I tak jest dobrze. Że tak wcześnie. Gorzej, kiedy się dowie o swej nieprzydatności w drugiej klasie, czy po ukończeniu zawodówki lub technikum. A takie, i to dość liczne wypadki, zdarzają się, o czym doniosła ostatnio prasa. Powstaje w ten sposób grupa młodych ludzi „rozparzonych", załamanych, pozbawiona swego miejsca na ziemi, która nie-

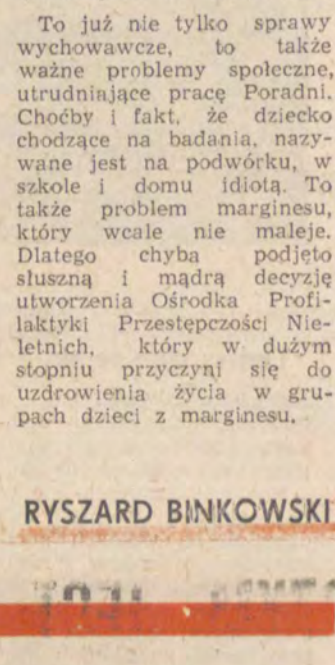

sześciorgiem dzieci. Rodzice ukończyli 6 klas szkoły podstawowej, oboje nie pracują, ojciec ma owrzodzenie żołądka i wciąż siedzi na chorobowym. Dwóch chłopców chodzi spać do babci. „W drodze" siódme dziecko.

— Czyście to przemyśleli należycie?

— Tak, chcemy tego dziecka.

— Dlaczego?

— Bo lubię — mówi ojciec — kiedy żona trzyma coś na ręku...

Mają ośmioletnią córkę garbuskę, ze sztywnym palcem i złamaną konchą uszną. Matka nie chciała, aby się urodziła. Chodziła do „babki", która starała się usunąć ciążę w sposób piłkarski, kopiąc kobietę w brzuch...

Rodziną opiekuje się wiele instytucji, ostatnio otrzymali przydział materiału, ale ojciec powiedział, że można się tym podetrzeć... Poradnia starała się umieścić dziewczynkę w Domu Dziecka.

— Nigdy na to nie pozwolimy, bo bardzo kochamy nasze dzieci...

Nie pomógł nawet wybieg z umieszczeniem dziewczynki w sanatorium.

To już nie tylko sprawy wychowawcze, to także ważne problemy społeczne, utrudniające pracę Poradni. Choćby i fakt, że dziecko chodzące na badania, nazywane jest na podwórku, w szkole i domu idiotą. To także problem marginesu, który wcale nie maleje. Dlatego chyba podjęto słuszną i mądrą decyzję utworzenia Ośrodka Profilaktyki Przestępczości Nieletnich, który w dużym stopniu przyczyni się do uzdrowienia życia w grupach dzieci z marginesu.

RYSZARD BINKOWSKI

KOSZ NA POMYSŁY

NA BUDOWIE

Dobrze jest od czasu do czasu posłużyć się przysłowiem lub cytatem. Modne to i bezpieczne. Przysłowia bowiem wymyślili starożytni Polacy, a za cytaty najczęściej odpowiedzialność spada na ich autorów. Posłużyłem się i ja przysłowiem: „Na pochyle drzewo kozy skaczą", kiedy czytałem list Czesława Wernera. Skoro jednak „Kosz na pomysły" przeznaczony jest zarówno na pomysły pożyteczne, jak i ucieszne, skoro ma służyć zarówno krytyce, jak i gloryfikacji, niech więc list ten posłuży Czytelnikom ku rozwadze i uciesze. A na komentarz czas przyjdzie później.

Od dłuższego już czasu choruję — PISZE CZESŁAW WERNER. Choroba unieruchomiła mnie w domu. Na szczęście mogę wstawać, ale nie mogę jeszcze przez pewien czas wychodzić. Siadam więc w wygodnym fotelu przy oknie i patrzę na świat przez szyby. A za oknem dzieją się rzeczy ciekawe i dziwne. Do niedawna na naszym osiedlu panował spokój. Pewnego dnia przyjechali budowlani. Traf chciał, że przed moimi oknami zaczęli stawiać nowy dom. Nie będę opisywał wszystkich etapów budowy, a tylko to, co jest dla niej najbardziej — niestety — charakterystyczne i co, budzi mój sprzeciw.

Praca zaczyna się wcześnie rano. Nie zawsze mam okazję obserwować moment rozpoczęcia pracy na budowie. Ale to, co udało mi się zobaczyć, wystarczy. Mogę tylko tyle powiedzieć, że nie zawsze i nie wszyscy zaczynają pracować o jednej porze, że sporo czasu traci się na rozkręcanie. To samo dotyczy późniejszych przerw na śniadanie i obiad. Gdyby udało się zebrać cały ten tracony czas i właściwie go wykorzystać, to myślę, że dom ten można byłoby wybudować znacznie szybciej. Obserwuję też, że po południu przy budowie tego domu pracują cztery osoby. Obsługują oni dźwig, który podaje na budowę domu prefabrykowane elementy. I najczęściej robią więcej niż ci, których tak dużo, a którzy pracują do południa. Część z nich pracuje w środku budynku — to prawda — a postępów pracy w środku niestety nie widzę. Widzę natomiast ich wszystkich, jak zbierają się na dość częste dyskusje na świeżym powietrzu. I znów, gdyby policzyć czas tych dyskusji, to można byłoby też znacznie przyśpieszyć postęp prac w środku wznoszonego budynku.

Bardzo często zastanawiam się, o czym oni tak dyskutują? Sądząc z żywej gestykulacji są to zapewne problemy natury ogólnołódzkiej, ogólnopaństwowej a nawet chyba ogólnoludzkiej. Byłbym strasznie ciekaw, czy owi dyskutanci też tak żywo wypowiadają się na zebraniach i naradach produkcyjnych? Ale nie chcę tego sądzić zbyt pochopnie i tylko z pozoru, że skoro wypowiadają się tak obszernie i wyczerpująco w dyskusjach w czasie pracy, to już nie mają nic do powiedzenia po pracy.

Przyglądanie się tym dyskusjom jest niezwykle interesujące. Nauczyłem się już rozróżniać poszczególne grona dyskutantów. Kiedy na przykład wszyscy zbierają się wokół wysokiego bruneta z ogromnymi baczkami, to wiadomo, że dyskusja będzie żywa i będzie trwała długo. Czasem z godzinę potrafią tak stać i dyskutować. Godzinę dyskutuje pięciu lub sześciu ludzi. Proszę tylko pomnożyć. Jest to pięć lub sześć godzin pracy. Ile w tym czasie można zrobić?

Mój ulubiony organizator dyskusji mógłby z powodzeniem zająć się też organizacją pracy, bo tak, według moich obserwacji szwankuje ona dość wyraźnie. Aby nie być gołosłownym pozwolę sobie przedstawić taki wypadek.

Pewnego dnia przywieziono na budowę małe elementy budowlane. Wielkości pięciu tradycyjnych cegieł, wykonane z pianobetonu. Elementy te zrzucono dość daleko od dźwigu. Potem trzeba było je przetransportować na budowę, do wnętrza domu. Przyszło więc trzech ludzi. Jeden ładował te elementy na taczkę. Nosił on czerwony kask ochronny. Drugi, bez kasku, z krótkimi włosami, woził pełną taczkę na odległość 10 metrów. Tam stał trzeci, w białym kasku i elementy te wyładowywał, a następnie układał je.

Kiedy patrzyłem na ten obrazek, będący znakomitą ilustracją organizacji pracy na „mojej" budowie, przypomniał mi się stary już dowcip. Do pewnej fabryki przyjechała delegacja. Zainteresowało ich, dlaczego jeden wózek pcha dwóch ludzi. Zapytali o to oprowadzającego. Ten wyjaśnił lakonicznie.

— Bo trzeci jest na chorobowym zwolnieniu.

Opisany wyżej przykład „znakomitej" organizacji pracy zafrapował nawet kogoś starszego na budowie, bo przyszedł i kazał „podwieźć" dźwigiem niewielką platformę i układać na niej owe elementy. Mnie natomiast zdziwiło, że nadal zgodził się, aby tak prostą pracę wykonywało trzech ludzi. Widać specjalizacja w budownictwie osiągnęła już swój szczyt i pracują tam ludzie, którzy mogą tylko ładować, tylko wyładowywać i tylko wozić taczki. Zresztą, po odejściu owego starszego „rangą" trzej specjaliści powrócili do poprzedniej zasady i układali elementy z pianobetonu obok platformy. Ładowanie na platformę jest chyba czynnością wymagającą już innego specjalisty.

Najbardziej bawią mnie przekomarzania operatora dźwigowego z pomocnikami. Pomocnicy chętnie poszliby już na śniadanie. Ale operator nie ma jeszcze na to ochoty. Opuszcza dźwig i każe ładować kolejny element. Tamci na górze krzyczą i machają rękoma, że zrobią to później, a on nic, udaje, że nie rozumie i znów podnosi do góry kolejny element. W końcu nudzi mu się taka zabawa w pracę i wszyscy zgodnie, raźnym krokiem podążają do „pakamery" na posiłek. Wracają nieco ociężali i dość długo zabierają się do dalszej pracy.

Nie podaję lokalizacji tej budowy. Nie dlatego jednak, abym bał się, że „moi" budowlani zaczną patrzeć uważnie po oknach, kto ich tak pilnie obserwuje. Ostatecznie mogę ukryć się za firanką. Wydaje mi się jednak, że „moja" budowa nie jest wyjątkiem.

Wliście Czesława Wernera brakuje mi właściwie pomysłu. Ale myślę, że nietrudno będzie go dopisać. Jego relacja z anonimowej budowy zawiera bowiem znakomitą sugestię dla kierownictw przedsiębiorstw budowlanych, aby uważnie przyjrzeć się wszystkim budowom, może wśród nich znajdą i tę opisywaną. Przy okazji przyjrzą się organizacji pracy w swoich przedsiębiorstwach. Chyba warto.

A przysłowie: „Na pochyle drzewo kozy skaczą"? Wiąże się ono z powszechną krytyką sposobów pracy na budowach. Nie są to sposoby najlepsze, a wiem to nie tylko z relacji Czesława Wernera. Czy jednak zła organizacja pracy panuje tylko w budownictwie? Niestety, nie. O złej organizacji pracy można mówić na liniach PKP, przy remontach dróg i w niektórych zakładach pracy. Najczęściej wszędzie tam, gdzie szwankuje kontrola, gdzie ludzie pozostawieni sami sobie, nie zawsze mają jak i czym pracować.

Proponuję zatem Czytelnikom nadsyłanie listów z pomysłami na temat, jak poprawić organizację pracy w różnych dziedzinach naszego życia społecznego i gospodarczego. Czekam na takie projekty i pomysły.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

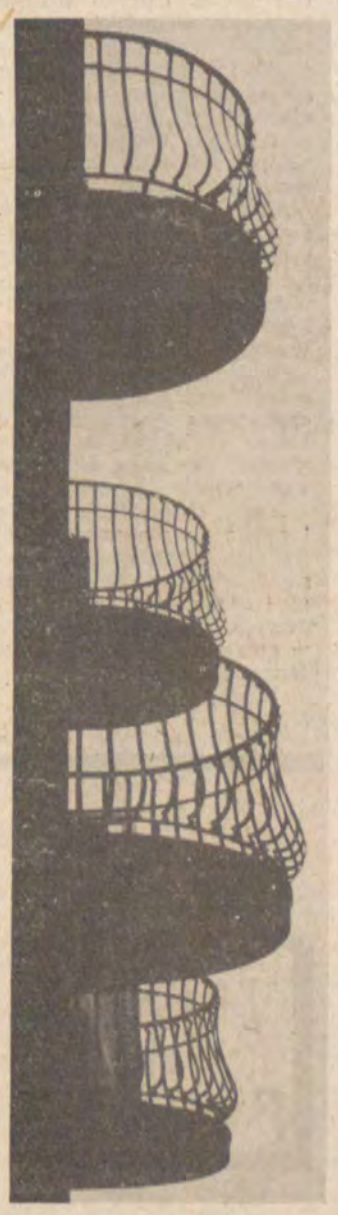

„Balkony"
Fot. Cz. Mendychowski

KARIERA PRZEDMIEŚCIA

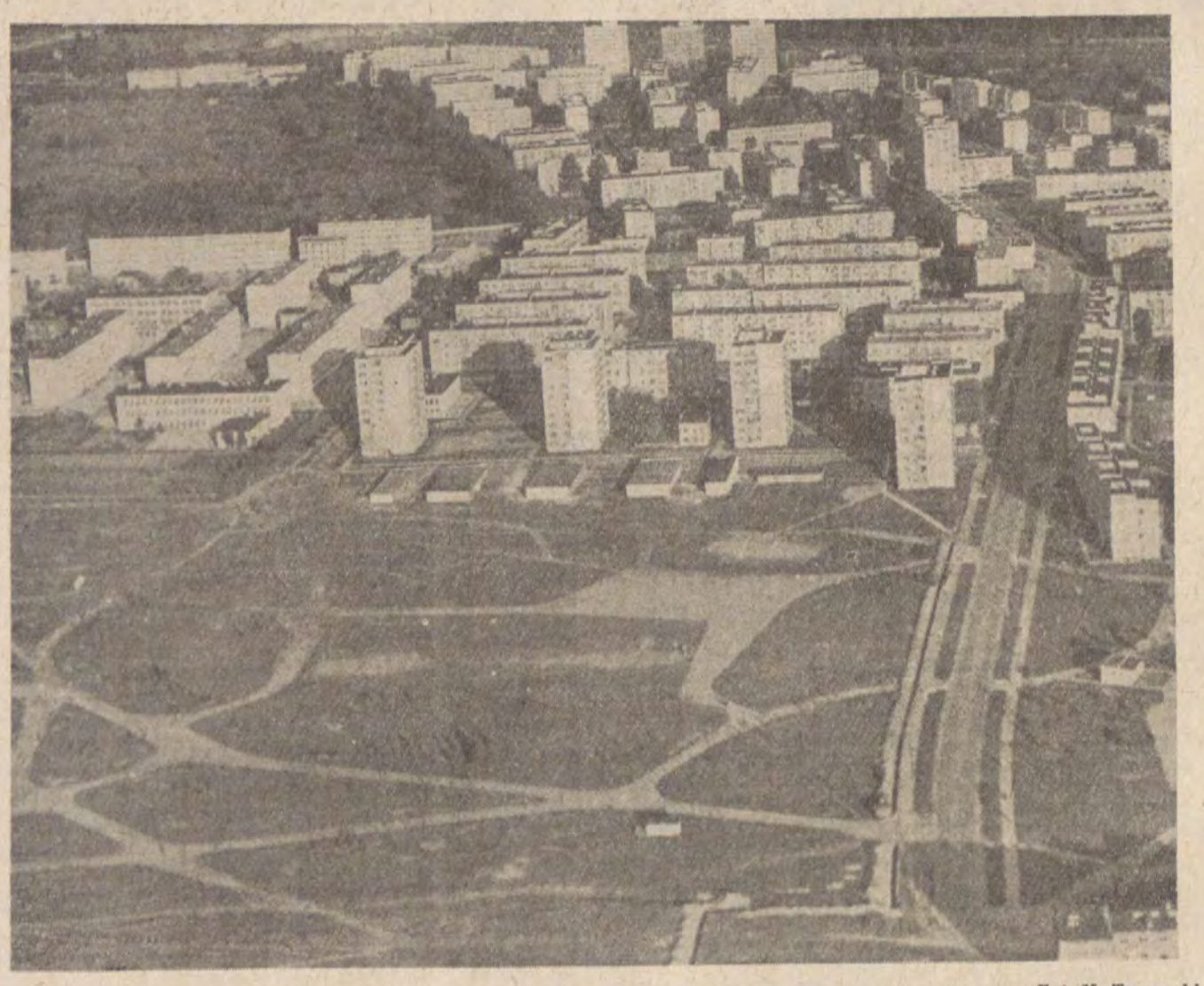

Fot. K. Turowski

Dalszy ciąg ze str. 1

ności swe lokowali oni w budowę niewielkich domków, otoczonych starannie pielęgnowanymi ogródkami.

Niewiele zmieniło się tu po ostatniej wojnie. Jak dawniej, na wolnych przestrzeniach, pomiędzy z rzadka stojącymi domkami, rozciągały się poletka żyta i ziemniaków, wypalone słońcem łączki, na których krowy i kozy wyskubywały lichą trawę. Czasem przemknął tędy w podskokach zabłąkany zając. W niedzielne popołudnia ciągnęli tu z miasta spacerowicze, ażeby zaczerpnąć w płuca świeżego powietrza i nacieszyć oczy na pół wiejskim krajobrazem.

Aż nadszedł rok 1960. Na rozległych polach, sięgających ulicy Śląskiej, pojawiły się spychacze i koparki, niwelujące teren i robiące wykopy pod budowę domów. Widoczna z dala kratownica wysokiego dźwigu w letnie przedwieczerza przyciągała okolicznych mieszkańców, którzy z ciekawością obserwowali, jak rosną domy nowego osiedla.

Dumni byli z budowy, ale i często na nią ponarzekali. Zwłaszcza zaś wiosną i jesienią, kiedy to nieodwodniony i pozbawiony dróg dojazdowych teren zamieniał się w grzęzawisko. Wielkie platformy samochodowe, wiozące na budowę żelbetowe konstrukcje, zarzynały się w lepkiej mazi po same osie. Ludziska, nim dotarli do swoich domostw, gubili obuwie w grząskim błocku. Ba, razu jednego w grzęzawisku przy ulicy Niższej zapadła się krowa po sam brzuch. Bydlęciu musieli przyjść z pomocą strażacy.

Ile w tym bałaganie naniszczyło się cennego materiału, wciśniętego gąsienicami spychaczy w rozmiękły grunt, nie będziemy już wspominać. Było i przeszło!

Dąbrowa rosła. Interesanci, zaglądający do ówczesnej Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych, mieli możność obejrzenia ogromnej planszy, na której uwidocznione było osiedle po zakończeniu jego budowy. Aż wierzyć się nie chciało, że te wszystkie budynki zaznaczone na planszy: domy mieszkalne, szkoły, przedszkola, pawilony handlowe staną w ciągu dziesięciu lat. — Panie! — powiedział jakiś mężczyzna, wskazując palcem miejsce, na którym zaznaczono cztery ogromne dziesięciopiętrowe domy — niech pan spojrzy! To jest przy samej ulicy Dąbrowskiego. Znam dobrze to miejsce. Głębokie doły, do których zwala się śmieci z całej okolicy. Cud będzie, jeśli za pięćdziesiąt lat staną tu wieżowce.

A jednak... Przejdźcie się Dąbrowskiego poza ulicę Zapolskiej. Nie zobaczycie śladu po wysypiskach śmieci. Już od paru lat piętrzą się na tym miejscu potężne bloki z betonu i szkła. Wabi oko soczysta zieleń trawników i zachęcają do wypoczynku kolorowe ławeczki.

Są dwie Dąbrowy. Pierwsza, zbudowana parę lat wcześniej, stała się przytuliskiem ludzi wysiedlonych z suteren, poddaszy, domów przeznaczonych do rozbiórki, lub też rodzin pozbawionych samodzielnego mieszkania. Osiedlem administruje Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych. Nie najlepszy to gospodarz. Świadczą o tym brudne i odrapane elewacje budynków, nieodświeżane klatki schodowe, zaniedbana zieleń osiedlowa. Zapewne spora w tym także wina mieszkańców. Różni tu mieszkają ludzie, w znacznej mierze napływowi, nie obyci jeszcze z życiem miejskim.

Jest i druga Dąbrowa, graniczącą z Zarzewem. Niby podobna, a jakże różna od poprzedniej. Znacznie tu czyściej i przytulniej. Zieleń jeszcze bardzo młoda, ale dobrze utrzymana. Wystrzyżone trawniki, dużo krzewów i kwiatów. W balkonowych skrzynkach grają gamą kolorów petunie i pelargonie. Lekko sfałdowany teren nadaje osiedlu akcenty malowniczości.

Wprawdzie i tutaj ponarzeka się czasem na niedogrzane mieszkania, brak ciepłej wody, przeciekające piwnice — jednak, ogólnie biorąc, widać rękę gospodarza tej części Dąbrowy — Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Bawełna".

Obydwa osiedla przedziela ulica Dąbrowskiego, stosunkowo wąska, jednopasmowa i do tego słabo oświetlona. Mieszkańcom zaś marzy się piękna, dwujezdniowa arteria, jarząca się wieczorem setkami lamp. Marzy im się także wiadukt nad torami pobliskiej kolei obwodowej, który by połączył Dąbrowę Wschodnią i jej budujące się zakłady przemysłowe z Dąbrową Zachodnią. Przydałby się również przystanek obok przyszłej obwodnicy kolejowej. Jakże wtedy łatwo można by się dostać do Łagiewnik!

Są i inne marzenia. Trochę monotonny charakter zabudowy osiedla warto by ożywić architektonicznie. Jak to uczynić niewielkim kosztem? Znajduje się tu kilka placyków wyłożonych płytami, pustych i martwych. Gdyby tak ozdobić je rzeźbą lub wodotryskiem. A może urządzić brodziki dla dzieci, podobne tym na Chojnach, czy w Arturówku. Jakaż by to była frajda dla maluchów z osiedla w upalne dni lata!

Nowoczesną i dosyć przyjemną dla oka architekturę Dąbrowy szpeci dawna zabudowa. Pod bokiem wysmukłych wieżowców stoją pokraczne parterowe budynki, nieskanalizowane, obstawione walącymi się komórkami i wielekroć łatanymi parkanami. Choćby domki usytuowane u wlotu ulic Tatrzańskiej i Kossaka. Nie dość, że rażą swoją brzydotą, nie dość, że zamykają malowniczą perspektywę wspomnianych ulic, ale przy tym utrudniają poważnie komunikację i są pośrednią przyczyną wielu wypadków, nawet śmiertelnych.

A co z zaopatrzeniem? Na Dąbrowie placówek handlowych jest już sporo. Znacznie gorzej wygląda ich zaopatrzenie, zwłaszcza w żywność. Po pracy, w godzinach przedwieczornych niewiele tu można dostać: brakuje mięsa, wędlin, a często i chleba. Przezorne gospodynie, licząc się z tym, czynią zakupy w śródmieściu, a następnie taszczą do osiedla ciężkie torby z zakupami. Czy tak być musi?

Brak szerszej perspektywy przy planowaniu osiedla na Dąbrowie już teraz odczuwają jego mieszkańcy. Nadmierne zagęszczenie zabudowy stwarza nowe nieoczekiwane problemy. Choćby taki: gdzie garażować samochody, skoro nie ma miejsca na budowę garaży. Dlatego też wąskie uliczki osiedla zapychają różnej maści Fiaty, Syreny, Moskwicze czy Trabanty. Parkują tu także, często po kilka dni, wielkie wozy transportowe PKS-u. Czemu tutaj, a nie w bazie, trudno pojąć.

W pobliżu Dąbrowy nie ma żadnego przemysłu. Przynajmniej dotąd. Dobre to ze względów zdrowotnych, jednakże do pracy trzeba odbyć codziennie kilkukilometrową podróż w zatłoczonym tramwaju czy autobusie. Powrót odbywa się w jeszcze większym ścisku. Ludzie są więc zmęczeni i resztę dnia najchętniej spędzają w zaciszu domowym przy telewizorze. Wygodne mieszkanie sprzyja takiemu wypoczynkowi, a zwłaszcza zima.

Zresztą, dokąd można się wybrać w wolnym czasie? Na Dąbrowie nie ma kina. Brak tutaj także domu kultury z prawdziwego zdarzenia, z salą widowiskową i odczytową, z czytelnią, z różnymi pracowniami i kółkami zainteresowań — jednym słowem miejsca, w którym ludzie mogliby się spotykać dla przyjemnego i kulturalnego spędzenia wolnych wieczorów. Kilka bibliotek miejskich, parę klubów młodzieżowych — to jedynie drobna część tego, co powinno być zrobione dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych ludzi zamieszkałych na Dąbrowie. Wprawdzie nasze miasto dysponuje sporą ilością teatrów, kin, muzeów i wystaw, ale komu zechce się jechać wieczorem do śródmieścia, kiedy nazajutrz trzeba wstać wczesnym rankiem, żeby w porę zdążyć do pracy.

Inaczej spędza się czas w lecie. Dłuższy dzień i sprzyjające warunki atmosferyczne zachęcają mieszkańców do wyjścia z domu. Kręcą się więc ludziska po osiedlu, chłoną w siebie urok kwiatów i zieleni, zaglądają ciekawie do wystaw sklepowych i bacznie obserwują zmiany, jakie zachodzą w ich najbliższym otoczeniu. Cieszą się, że osiedle z dnia na dzień pięknieje.

W pogodne dni świąteczne już o świcie budzi mieszkańców warkot zapuszczanych silników. Posiadacze mechanicznych pojazdów wyruszają za miasto. Co czynią inni? Szczęśliwcy, którzy otrzymali działki w pobliskich ogródkach, obcują z przyrodą na swoich iluś tam metrach kwadratowych zieleni. Jeszcze inni, a takich jest sporo, wybraliby się chętnie do lasu, parku lub nad wodę, ale owych cudów przyrody tutaj nie uwidzisz. Trudno przecież niewielką połać zieleni nazwać parkiem, a najbliższy las znajduje się w Łagiewnikach. Jechać zaś na Zdrowie przez całe miasto w gorący letni dzień nie ma sensu.

Pozostają więc okoliczne pola i łąki. Wędruje się tam całymi rodzinami. Na rozpostartych pledach i kocach prażą się w słońcu obnażone ciała. Uff, gorąco! Ciągnie człowieka do chłodnej, krystalicznej wody, ale cóż — można tylko sobie pomarzyć. Wprawdzie niedaleko znajduje się spora glinianka, lecz na kąpiel w brudnej, mętnawej cieczy decydują się jedynie dzieci. Zostaje więc tylko nieco piasna, ale własna wanna w M-4.

Mieszkańcy osiedla, których nie pociąga opiekanie się jak na rożnie na nagrzanej słońcem ziemi, udają się na dalsze spacery, hen, wzdłuż torów kolei obwodowej. Równolegle do torów biegnie wysoki nasyp, na którym jest przewiewnie, a i widok z tego miejsca interesujący. Spojrzysz w prawo — przed tobą pola falujące zbożem rozmaitym, z rysującymi się na horyzoncie konstrukcjami nowo wznoszonych zakładów przemysłowych: „Polanilu", „Dywilanu", fabryki przędz teksturowanych. Spojrzysz w lewo — masz jak na dłoni rozległą panoramę wielkiego osiedla kamiennego miasta, najeżonego punktowcami i połyskującego w słońcu bielą murów.

Długa i głęboka kotlina dzieli Dąbrowę od Zarzewa. Ongiś dnem jej płynęła rzeczka, jednakże miasto wyssało wodę. W zapadlisku łyskają tylko niewielkie lusterka deszczówki, nad którymi pochylają się ludzkie postacie. To posiadacze akwariów za pomocą siatek umocowanych na kijach łowią jedyne bogactwo tych cuchnących kałuż, drobne robaczki — pokarm dla złotych rybek. Dolina porośnięta jest burzanem i chwastami. Kopczyki na jej skłonach są dziełem sprytnych kierowców, którzy mimo zakazu wywalają tu chyłkiem gruz z budowy.

Teren ten aż się prosi o zagospodarowanie. Dno kotliny wydaje się być idealnym miejscem pod urządzenie basenów kąpielowych i brodzików dla dzieci. Zbocza zaś można zamienić w malowniczy park, opadający tarasami w dolinę. Uroczy byłby to zakątek Łodzi!

Sprawa godna zainteresowania przyszłych potentatów przemysłowych Wschodniej Dąbrowy. Wszak załogi lokowanych tam przedsiębiorstw rekrutować się będą głównie z mieszkańców pobliskich osiedli. Swoje „trzy grosze" może też dorzucić gospodarz tych osiedli RSM „Bawełna". Udział okolicznych mieszkańców we wspomnianym przedsięwzięciu jest gwarantowany.

Budowę parku osiedlowego należałoby zacząć od uporządkowania terenu, wytyczenia alejek i ścieżek, posadzenia drzew i krzewów. Pamiętajmy, że zanim z młodych sadzonek wyrosną rozłożyste drzewa upłynie sporo lat. W międzyczasie można zbudować baseny kąpielowe, urządzenia sportowe, a może i amfiteatr. Miejsce idealne.

Dąbrowa, jak wiele innych osiedli, ma jeszcze sporo braków i potrzeb, ale nie umniejszają one błyskotliwej kariery ubogiego niegdyś przedmieścia. Rzeczą gospodarzy dzielnicy jest owe braki usuwać, potrzeby w coraz większym stopniu zaspokajać, żeby nowoczesne i ludne osiedle z każdym rokiem piękniało, a jego mieszkańcom żyło się tu lepiej i wygodniej.

Niechaj Dąbrowa — której nazwa każdemu z nas kojarzy się z lasem a więc z zielenią — stanie się w przyszłości dzielnicą godną swojej nazwy — oazą kwiatów i zieleni.

WACŁAW PAWLAK

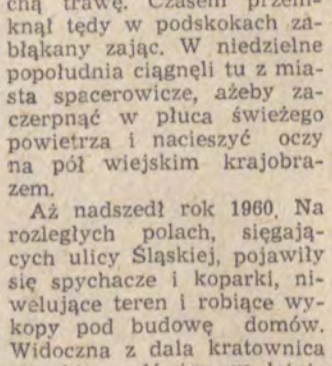

NIE MÓJ WSTYD

Nie można mi zarzucić braku patriotyzmu w ogóle, a braku patriotyzmu lokalnego w szczególności. Jak mogę i kiedy tylko mogę staram się o swoim mieście mówić jak najwięcej i jak najlepiej. Powyższe wypływa zarówno z mojego przywiązania do Łodzi jak i z przekonania, że oto mijają czasy złej sławy stolicy polskiego włókiennictwa. Jednakże bywają momenty kiedy rumienię się za moje miasto i zaczyna zalewać mnie przysłowiowa „zła krew". Bo proszę posłuchać:

Zjeżdżają do mnie goście z zagranicy, z kraju kapitalistycznego gdzie wszystko jest uzależnione od pieniądza i byznesu. Dla nich Polska jest egzotyką, niemal wierzą, że na Piotrkowskiej można zbierać grzyby, a na Bałutach polować na niedźwiedzie. Więc robię wszystko aby pokazać Łódź piękną i godną obejrzenia, aby żaden z zabytków nie został pominięty. Do ekskursji najlepiej posłużyć się taksówką, przecież taksówkarze znają tu każdy kamień i każdą dziurę w jezdni. Stoimy więc na skrzyżowaniu Piotrkowskiej i Traugutta. Zatrzymujemy taksówki. Miajają nas obojętnie. „Dlaczego?" — pyta jeden z gości. Udaję, że nie dosłyszałem. W końcu z ulicy Traugutta nadjeżdża wysłużona „warszawa", reaguje na moją uniesioną rękę, lecz zatrzymuje się dopiero na ulicy 22 Lipca, pod „Smakoszem" i zabiera dwóch podpitych jegomościów. „Dlaczego?" — pyta powtórnie cudzoziemiec.

Denerwuje mnie jego natarczywa ciekawość. Czy zrozumie kiedykolwiek, że istnieje pewna delikatna różnica pomiędzy dwoma trzeźwymi a podpitymi pasażerami? Czy pojmie specyfikę naszych usług?

Nazajutrz znowu zwiedzamy Łódź, nowe dzielnice, rosnące osiedla, zabytkowe pałacyki. Zmęczeni i pełni optymizmu postanawiamy zjeść dobry, suty polski obiad. Zaczynamy nieznaną gdzie indziej marszrutę z jednej ulicy na drugą. W „Tivoli" — akurat remont, „Malinowa", „Syrena" — nie ma miejsc, „Savoy", „Halka" — nieczynne, bowiem od południa trwa przygotowanie sal na uczty weselne, które odbędą się dopiero późnym wieczorem. „Dlaczego? — pyta mój gość. — Przecież dopiero południe. U was tak zawsze?"

Na nic zdają się moje gorące zapewnienia, że są dni, kiedy w Łodzi można normalnie zjeść obiad, wypić normalnie kawę czy kieliszek martini z lodem.

Ktoś może mi zarzucić snobizm, rozrzutność czy nawet niechęć do lokali typu „Smakosz" czy „Słoń". Zapewne pobyt w wyżej wymienionych restauracjach byłby dla moich gości nie lada egzotyką. Wszystko to być może, lecz czasami chce się zjeść obiad bez asysty panów chwiejących się nad bufetem.

EUGENIUSZ IWANICKI

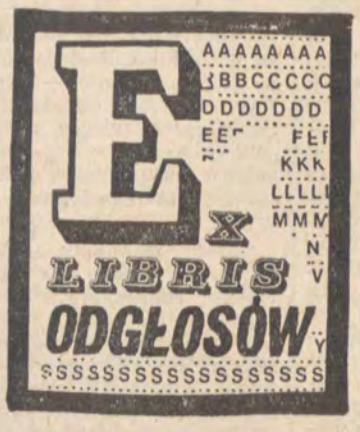

DUCH BIAŁOWIEŻY

Mamy nową wersję Klossa. Tym razem literacką, opisaną dokładnie przez Aleksandra Omiljanowicza. Sprzedawca przy straganie z książkami tak tę pozycję zachwalał: „Kup pan, to noc masz z głowy — tak wciąga".

Niestety — noc miałem spokojną. Powieść Omiljanowicza eksploatuje stary schemat Konrada Wallenroda, bardzo często zresztą współcześnie wykorzystywany. I to by jeszcze nie było najgorsze. Ale bohater „Ducha Białowieży" zachowuje się jak dywersant — przedszkolak, choć nas autor zapewnia o jego wieloletnim i bogatym doświadczeniu.

Hitler przedstawiony jest jako ponury idiota, co raczej należałoby dawno między bajki włożyć. Są to znów wzory ze skompromitowanego już i osławionego „Upadku Berlina".

Wywiad hitlerowski, to według Omiljanowicza stado baranów, dające się wodzić przez faceta, popełniającego piramidalne gaffy. W tym kontekście sukcesy „białowieskiego Klossa" niesłychanie bledną.

W sumie jest to książka nie tyle o walce wywiadów, co raczej, o tym, jak sobie w trzydzieści lat po wojnie ktoś walkę wywiadów wyobraża. A wystarczyłoby przeczytać choćby parę autentycznych pamiętników o tych sprawach, sięgnąć do literatury faktu, aby przyrządzić opowieść bez niekonsekwencji, uproszczeń i naiwności.

J. WIL.

Aleksander Omiljanowicz „Duch Białowieży", Wyd. Lubelskie, 1973.

SZTUKA MIŁOŚCI

Erichą Frommą znamy już z tłumaczonej na język polski „Ucieczki od wolności". Następna jego książka wydana u nas w serii Biblioteki Myśli Współczesnej — „O sztuce miłości" nie jest ani wykładem teorii osobowości, ani, tym bardziej, teorii popędów, choć wspiera się na doświadczeniach i dociekaniach autora, prowadzonych w tych dziedzinach. Jest to raczej pedagogiczno-moralizatorski wywód, przepojony najlepszymi chęciami autora, aby dla każdego przypadku znaleźć jakąś radę albo przynajmniej cień rady. Fromm stara się być doradcą, doradcą bardzo osobistym w kwestii: „Jak żyć". We wstępie Marian Czerwiński tak charakteryzuje generalne stanowisko Fromma:

„Miłość, to w gruncie rzeczy nie tyle uczucie, ile sposób zaangażowania człowieka wobec bytu, świata w ogólności, sposób zaangażowania wobec społeczeństwa w dialogu z nim, jakim jest działanie publiczne, praca, twórczość. Związek erotyczny, miłość dziecka, miłość braterska czy rodzicielska, przyjaźń — byłyby to w tym rozumieniu całej sprawy jakby wyspecjalizowane przypadki o szczególnych barwach i znacznej intensywności uczuciowej, przypadki owej predyspozycji ogólniejszej, owego nieustającego porywu".

Można z Frommem spierać się o słuszność tych czy innych przemyśleń czy wniosków i wynik takich sporów nie zawsze byłby dla niego korzystny. Ale nie sposób odrzucić bez zastanowienia tych partii książki, w których ten filozof, socjolog i psycholog mówi o rodzajach miłości najpowszechniejszych — o miłości między kobietą i mężczyzną i o miłości rodziców i dzieci. Czytelnik znajdzie tu wiele trafnych i wnikliwych dociekań i rozsądzeń, wiele uzdrawiających rad i spostrzeżeń. I te partie wywodu Fromma warte są przestudiowania mimo, iż całość książki budzić może liczne sprzeciwy i dyskusje. Jednak już sam problem zaangażowania wobec życia, rozważany pod kątem miłości — nieczęsty przecież w naszej literaturze — wart jest głębszego przestudiowania i zastanowienia, nawet, jeśli wnioski finalne są dyskusyjne. A przecież trudno nie zgodzić się z Frommem, gdy pisze, że dzięki miłości człowiek może rozwiązać generalny problem ludzkiego istnienia — przezwyciężyć uczucie osamotnienia, albo, gdy dowodzi, że analiza natury miłości prowadzi do odkrycia powszechnego dziś jej braku oraz do krytyki warunków społecznych, które ponoszą odpowiedzialność za taki stan rzeczy.

Erich Fromm „O sztuce miłości", PIW, W-wa 1973, cena 15 zł.

POSTIMPRESJONIŚCI

Dwadzieścia ostatnich lat XIX wieku stanowi w dziejach sztuki okres wyjątkowy i jest poniekąd zapowiedzią jeszcze bardziej zdumiewających czasów, które przynieść miały ostateczne zakwestionowanie wszystkich zastałych form i obalenie wszystkich dotychczasowych kanonów i hierarchii. Ukoronowaniem rewolty impresjonistów była rewolucja pod sztandarami kubizmu, zwycięska i owocująca po dziś dzień. Warto zwrócić uwagę na fakt, że właśnie w tamtych latach pojawił się konflikt między dziełem artysty a „niewtajemniczonym" odbiorcą, „nie rozumiejącym" nowej sztuki, trwający zresztą w różnych wariantach do chwili obecnej. Automatycznie nasuwa się pytanie, czy zaistniałe pod koniec ubiegłego wieku przemiany zmieniły tak dalece sens sztuki, że stała się ona czymś zupełnie innym, niż była dotychczas? Otóż nie. Sens sztuki nie został zmieniony, tylko obnażony w sposób radykalny i nieodwołalny. I to było powodem szoku.

Kierunkiem podstawowym schyłku XIX wieku był postimpresjonizm, ale należy od razu wyjaśnić, iż nazwa ta obejmuje zjawiska bardzo zróżnicowane, posiadające jedynie wspólną genezę. Ich zróżnicowanie widoczne jest przy bliższej penetracji, a także w konsekwencjach późniejszych, w późniejszych sformułowaniach artystycznych nierzadko sprzecznych ze sobą. Niemniej zaistniały pewne znamiona, jednakie dla wszystkich zjawisk: odejście od niewolniczego naśladownictwa natury na rzecz swobodnego kreowania wizji, zerwanie więzów krępujących pęd wyobraźni, odkrycie prawa do nieograniczonej woli tworzenia, odrzucenie konwencji zastałych i większe uniezależnienie dzieła artysty od odbiorcy. To zaledwie kilka parametrów charakteryzujących sztukę końca wieku. W istocie było ich o wiele więcej. Ich analizą, a także analizą tego wszystkiego, co kryje się za nazwą „postimpresjonizmu" zajmuje się Wiesław Juszczak w monografii „Postimpresjoniści", wydanej w serii Style — Kierunki — Tendencje. Książka ta uzupełnia się znakomicie z inną, wydaną w 1964 roku, a mianowicie z „Impresjonistami" Joanny Guze. Dzięki tym dwom pozycjom mamy w naszej literaturze popularnej zarys dziejów sztuki ostatniego dwudziestolecia XIX wieku.

Forma książki bardzo przystępna, a treść poparta jest 117 reprodukcjami najznakomitszych przedstawicieli postimpresjonizmu: van Gogha, Gaugina, Seurata, Degasa, Toulouse-Lautreca, Cezanne'a.

A. G.

Wiesław Juszczak „Postimpresjoniści", Wyd. Artystyczne i Filmowe, W-wa 1972, cena 25 zł.

– BRYLANTY WSZYSTKO ZEPSUŁY – MĄŻ MOJEJ MATKI WYRAŻA ZDUMIENIE – PUDEŁKO Z TŁUSTYM BACHOREM A WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE

(IV)

STEFANIA GRODZIEŃSKA

Wracam do dnia, kiedy odebrano mnie z internatu. Pomimo młodego wieku nie byłam taka głupia, żeby mężowi mojej matki okazać radość z powodu nagłego naszego zbiednienia. Przeciwnie, przez cały wieczór siedziałam z grobową miną i matka była ze mnie bardzo zadowolona. Na razie nie mówiło się, gdzie by mnie teraz oddać i w ogóle się o mnie nie mówiło, co zawsze było korzystne. Mąż matki tego dnia miał poważniejsze problemy na głowie niż mnie i wydawało się, że moja sprawa nie wygląda źle. Dopiero te brylanty wszystko zepsuły.

Mąż mojej matki powiedział, że wcale nie najgorzej sprzedał tę całą biżuterię i z tego spłacił najpilniejszą część długów. (To nie były normalne długi, jak np. na wódkę, czy na ratę za samochód, tylko długi w interesach. W Demokracjach Ludowych nie mamy o tym pojęcia, ale w kapitalistycznych interesach zawsze ktoś u kogoś ma jakieś pieniądze i kiedy ktoś straci pieniądze, to wszyscy inni chcą od niego pieniądze odbierać, to się nazywa wycofywać. Nie jestem w tym mocna, bo to był jedyny raz kiedy się z tymi zagadnieniami zetknęłam, a miałam, przypominam, sześć lat.).

W każdym razie, kiedy mąż mojej matki opowiedział o sprzedaży biżuterii, spytałam gdzie jest blaszane pudełko po kakao i po brylantach. I że teraz, kiedy nie mamy już brylantów, miałam dostać je na własność. Mąż mojej matki w pierwszej chwili nie zrozumiał i dopiero matka mu wytłumaczyła, o co mi chodzi. Bardzo źle się stało. Gdyby matka szybko zagadała moją gaffę, co zazwyczaj doskonale robiła, być może przeznaczenia mojego nie zmieniłaby, ale by je odwiekła. Ale matka wiedziała, jaką wartość przedstawia dla mnie to pudełko i że brylanty całego świata nie dałyby nikomu takiej radości, co mnie otrzymanie właśnie tego blaszanego pudełka. Mąż mojej matki krzyknął:

— Jakie pudełko, wyrzuciłem pudełko, przecież każdy z klejnotów miał etui, czy wyście sobie wyobrażały, że będę proponować biżuterię w blaszanym pudełku?

Nie powinnam była podnieść wrzasku, a jeżeli już tak się stało, to moja matka powinna była wyrzucić mnie za drzwi, mrugnąwszy po drodze. W ten sposób już nieraz ratowała sytuację. Ale może była jeszcze zanadto pod wrażeniem naszego radosnego powrotu z internatu, bo zrobiła bardzo niedobrą rzecz. Zaczęła mnie ściskać, całować i bronić, a co było najgorsze, sama się rozpłakała.

Mąż mojej matki w najżywszy sposób wyraził zdumienie, że wiadomość o katastrofie finansowej matka przyjęła, jak się wyraził, z idiotycznym uśmiechem, a płacze o blaszane pudełko. Krzyczał przy tym tak głośno, że chwilami udawało mu się zagłuszyć moje wrzaski i płacz matki.

I w ten sposób zamiast wykorzystać okres, kiedy mąż mojej matki nie miał głowy, żeby się mną zajmować, my z matką mimowoli spowodowałyśmy postawienie tego zagadnienia w najmniej odpowiednim momencie. Kto wie, gdyby moja matka nie rozumiała tak dobrze, że z całego okresu bogactwa mnie kapnął tylko internat i że pierwszy raz w życiu byłam tak bliska spełnienia marzenia jak w wypadku tego blaszanego pudełka, gdyby matka nie rozumiała mojej śmiertelnej goryczy, kontrastującej ze szczęśliwą drogą z internatu — na pewno powstrzymałaby się od tego nieszczęsnego płaczu. Ten jej płacz spowodował natychmiastowe karne wysłanie mnie do łóżka. W donajętym w czasie bogactwa sąsiednim pokoju sublokatorskim przesiedziałam na podłodze pod drzwiami prawie całą noc, podsłuchując. Mąż mojej matki bardzo krzyczał, a moja matka płakała. Nad ranem padł wyrok. Zostałam skazana na zesłanie do nieznanej mi rodziny w innym kraju. Było mi rozdzierająco żal mojej matki, kiedy myślałam, jak jej jest żal mnie. Broniła mnie, sama bezbronna. Wtedy przysięgłam sobie, że do końca życia moim głównym celem będzie wynagradzanie matce tej nocy. Nie zdążyłam się wywiązać, ale to już wina Hitlera.

Zresztą po wysłaniu mnie do rodziny, mąż mojej matki i moja matka przenieśli się do Paryża, a tam rzeczywiście nie mogli mnie mieć. O czym już pisałam.

Ponieważ mąż mojej matki był człowiekiem impulsywnym nie wykluczam, że gdyby nie afera z blaszanym pudełkiem, nie zostałabym tak od razu wysłana, a co za tym idzie po paru latach być może nie wylądowałabym w Łodzi. Wynika z tego, że o moim kilkuletnim związku z Łodzią, a dożywotnim z Polską — nie mówiąc już o decyzji Wydawnictwa Łódzkiego odnośnie tej książki — zdecydowało niespełnione marzenie o posiadaniu blaszanego pudełka z tłustym bachorem wpatrzonym w filiżankę kakao.

PANI PRZEŁOŻONA NOSI OBROŻĘ. DUCH GRAŻYNY BACEWICZ. KUMA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO

Łódź moich czasów gimnazjalnych była Łodzią o pokolenie młodszą od tej opisywanej tak pięknie przez Tuwima i jego siostrę.

Chodziłam do szkoły mającej prawdziwą panią przełożoną. Pani przełożona była stara i siwa jak się należy. Nosiła czarną suknię do kostek i ametystową obrożę na szyi. Była panną, do bardzo późnej śmierci używającą z godnością partykuły „ówna" przy nazwisku, a najważniejszym wydarzeniem jej życia był moment, kiedy podawała jakieś dziecko do chrztu z marszałkiem Piłsudskim. Ten fakt nadał charakter polityczny naszej szkole, a mnie, czołową deklamatorkę, zmusił do opanowania pamięciowego wszystkich wierszyków o Piłsudskim oraz wszystkich piosenek legionowych, niestety drugim głosem, mniej efektownym.

Kiedy w szkolnym chórze soprany z uczuciem wyciągały:

Gdy idą, to w słońcu
kołysze się stal
Dziewczęta zerkają zza
płota
I idą w nieznaną, zamgloną
gdzieś dal
Piechota, ta sza — ara
piechota —

my, drugie głosy, buczałyśmy baranio:

Piechota, piechota,
piecho-o-ota
Piechota, piechota, piechota
Piechota, piechota,

piecho-o-ota,
Piechota, piechota, piechota

co miało być onomatopeją, imitującą kroki idących i obserwowanych zza płota żołnierzy. Duch Grażyny Bacewicz, która o parę lat wcześniej ukończyła naszą szkołę, absolutnie nie wpłynął na czystość naszych produkcji i tylko głośne wytupywanie nauczyciela śpiewu sprawiało, że kilkakrotnie rozlatując się w czasie pieśni, spotkałyśmy się z sopranami w ostatnich taktach ku wielkiemu zaskoczeniu i uldze co muzykalniejszych słuchaczy.

Wracając do wątku pani przełożonej: kilka minut, w czasie których w imieniu niemowlęcia odpowiadała chórem z marszałkiem na pytania księdza, zaważyło mocno na mojej orientacji politycznej. Młodzież instynktownie opiera się wszelkim narzuconym kultom, więc moja niechęć do Piłsudskiego wyprzedziła znacznie jakąkolwiek świadomość polityczną czy społeczną.

A szkolna młodzież łódzka była bardzo upolityczniona. Prawie każdy albo lewicował, albo prawicował. Ja miałam szczęście należeć do paczki lewicujących intelektualistów gimnazjalnych. W błędzie byłby jednak ktoś, kto wyobraziłby sobie kompanię starych maluśkich, cały wolny czas poświęcających studiowaniu dzieł filozoficznych oraz ideologicznym sporom.

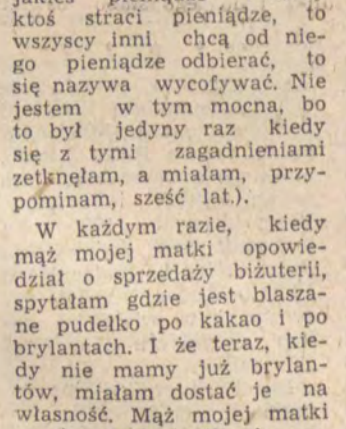

BIUROKRACJA W SŁUŻBIE ZDROWIA

Jestem mieszkanką Rąbienia, czyli wsi, będącej bardzo blisko, a jednocześnie daleko od miasta (brak środków komunikacyjnych). Otóż pewnego dnia zachorowała moja córka, której potrzebna była pomoc lekarska. No cóż, dzieci chorują od czasu do czasu.

Rano więc (31. III. o godz. 8) zadzwoniłam do ośrodka zdrowia w Aleksandrowie celem wyciągnięcia karty zdrowia. Odmówiono mi tego, a pani rejestratorka dodała, że jeśli chcę zbadać dziecko, to powinnam sama się pofatygować do ośrodka i zapytać lekarza, czy dziecko przyjmie (dziecko miało silną anginę — 39 st. C).

Wobec tych dobrych rad nic innego mi nie pozostało, jak zabrać dziecko i udać się do ośrodka i tu się dopiero zaczęła „kołomyjka". Otóż najpierw udałam się do pani doktor (zresztą bardzo sympatycznej), która, oczywiście, zgodziła się bez żadnych problemów zbadać dziecko. Następnie znowu udałam się do pani rejestratorki, powiadamiając ją o tym fakcie. Zażądała ode mnie legitymacji ubezpieczeniowej dziecka (chociaż w Polsce chyba wszyscy są obecnie ubezpieczeni, a tym bardziej dzieci). Kiedy dowiedziała się, że nie zabrałam legitymacji, stwierdziła, że wobec tego karty zdrowia nie wyciągnie, dopóki nie dostarczę karty (Rąbień — 5 km od Aleksandrowa), po czym zostawiła mnie przy okienku i poszła w drugi kąt pokoju. Kiedy na ponowne moje pytanie, czy rzeczywiście nie ma mi zamiaru karty wyciągnąć (mimo, że mam chore dziecko), odpowiedziała, że może by mi wyciągnęła, ale ponieważ nie spodobał jej się ton mojego głosu, więc nie ma o czym mówić. Jednak muszę być sprawiedliwa — podała mi numer pokoju, w którym urzęduje z-ca kier. Ośrodka Zdrowia. Udałam się więc tam, a pani urzędująca pouczyła mnie (powtarzając kilkakrotnie, żebym nie zapomniała), że wyjątkowo zezwala na to, abym otrzymała kartę zdrowia, ale następnym razem nigdy się na to nie zgodzi!!!

Panie Redaktorze! Tyle walczy się z biurokracją i pan też w swojej gazecie, ale mój przypadek świadczy o tym, że nadal biurokracja i małoduszność urzędnicza jest nie do pokonania. Bo za kilka dni, kiedy miałam iść do kontroli (byłam z lekarką umówiona) sytuacja się powtórzyła.

Nazwisko i adres
znane redakcji

Picasso

Dalszy ciąg ze str. 1

ny charakter jego twórczości nie pozwala na sumaryczne potraktowanie tematu. Picasso za wszelką cenę unikał maniery. Bywa tak ludzki i tak zjadliwy, jak Toulouse-Lautrec, tak staranny jak Ingres, tak monumentalny jak Michał Anioł i tak sentymentalny jak Greuze, i potrafi być absolutnie abstrakcyjny i pozbawiony wszystkiego, co nie jest czysto fizyczną reakcją na formę. A jednak sam Picasso oświadczył, że się nigdy nie zmienia, że we wszystkich jego obrazach powinniśmy doszukiwać się tych samych zasad kompozycji, tych samych walorów, tego samego obiektywizmu".

Picasso, dzieło Picassa, mit Picassa są jak „terra incognita" — nieobjęte, niepoznane do końca. Każda następna generacja twórców, krytyków i zwykłych zjadaczy chleba będzie ją odkrywała na nowo, stając wciąż w tym samym osłupiałym zdumieniu nad obszarem i głębią owego dziedzictwa. I zawsze znajdą się śmiałkowie, którzy wyruszą na podbój tej ziemi, doświadczając niezliczonych wzruszeń i radości, smutków i uniesień, upadków, cierpienia i grozy. Lecz wrócą z tych wypraw bogatsi nie tylko głębszym rozumieniem i silniejszym poczuciem rzeczywistości, lecz i tego wszystkiego, co było kiedyś, co trwa przez stulecia od momentu, gdy człowiek po raz pierwszy podniósł rękę i palcem umazanym w krwi i sadzy wyrysował na chropowatej ścianie jaskini wizerunek zwierzęcia, co trwa w mitach śródziemnomorskich, co zaklęte zostało w formie i rysunku waz czerwono- i czarnofigurowych w archaicznych metopach i biało gruntowanych, starogreckich lecytach, w rzeźbie iberryjskiej, w łagodnej ciszy romańskich fresków, w występnej smukłości gotyku i w karkołomnym rozpasaniu baroku; co trwa w portretach El Greca i Velazqueza, w kaprysach Goyi, w „Kobietach algierskich" Delacroix, w „Dziewczętach znad Sekwany" Courbeta, w „Śniadaniu na trawie" Maneta, w obrazach Poussina, Davida, Ingresa, Corota, wielkiego Cezanne'a, a także Cranacha, Grünewalda, Rembrandta. Powrócą z dojmującą świadomością, że oto zetknęli się z nieskończonością, z samą istotą, sensem sztuki. Czyż nie jest to nagrodą najwyższą? Lecz zdarzyć się może, że niektórzy z nich powrócą głusi i oślepieni, bowiem tak, jak nie można zrozumieć śpiewu ptaków, podobnie nie można zrozumieć do końca sztuki.

* * *

Patrząc na drogę, którą szedł Picasso, widzimy jego „okresy" niczym słupy milowe wbite w ziemię i widzimy najpierw **„Guernikę"**. Potem dopiero to, co było przed nią i po niej. „Guernica" była krzykiem najgłębszym, najgłośniejszym.

26 kwietnia 1937 roku samoloty z legionu „Condor" zbombardowały miejscowość Guernica y Luna, leżącą w autonomicznej republice Basków, która powstała rok wcześniej.

1 maja Picasso rozpoczął szkice do obrazu „Guernica", który miał być wystawiony jako główny eksponat w pawilonie hiszpańskim na wystawie światowej w Paryżu. Pawilon projektowali młodzi architekci ze szkoły Le Corbusiera: Luis Lacasa i Jose Luis Sert. Przed pawilonem ustawiono dwie monumentalne rzeźby Picassa, potem były malowidła Joana Miro, wielkie fotosy dokumentujące wojnę hiszpańską i na koniec „Guernica", którą Picasso zaczął malować 11 maja. Kompozycja o wymiarach 7,82 m x 3,51 m powstała tak szybko, jakby Picasso miał wszystko od dawna przygotowane i ułożone. Jakby wiedział już przedtem.

Malował w gniewie.

Christian Zervos, redaktor „Cahiers d'Art" w numerze poświęconym „Guernice" napisze: **„Malował w gniewie; była to reakcja twórcy przeciwko sile ciemnej i zboczonej, która chce powstrzymać rozkwit nowych pędów i zbudować na klęsce swoje panowanie; gwałtowna reakcja człowieka w chwili, kiedy rozwój wydarzeń każe mu podejrzewać istnienie planu, który wstrząsa ludzkim porządkiem i zaszczepia zwątpienie, który w najniższy sposób wystawia na próbę istotę ducha, który gasi ostatnie nadzieje cywilizacji".**

Malował w gniewie.

Malował swój własny ból.

Porębski stwierdzi, że: **„Po kilku jeszcze latach w całej Europie można się było z tego uczyć, jak z elementarza".**

Poeta Michel Leiris najgłębiej i najtrafniej odczuł i opisał „Guernikę":

„Świat zamieniony na pokój w hotelu, gdzie wszyscy gestykulując, czekamy, żeby zdechnąć — słońce zredukowane do rozmiarów elektrycznej żarówki, która nam świeci, dwa palce nad głową w skąpej intymności, koń, który się zwija w skurczach śmiertelnego strachu jak Pegaz schwytany w morderczą pułapkę, byk — jedyny zwycięzca — który wiecznie uderza grotami rogów, konwulsyjne postacie, twardy stół, wrzeszczący ptak: na nic się nie zda szukanie słów, żeby próbować opisać ten czarny i biały diagram naszej katastrofy, życie, jakim podobni do figur na szachownicy, do figur, gdyby one czuły zwracające się przeciwko nim ostre jak noże posunięcia, którymi kieruje sama tylko ochota partnerów i wiedziały, że ich bolesne drgawki nie zmienią w niczym reguł tej dzikiej geometrii".

Wojna hiszpańska była złą, splugawioną corridą. Zabijano w niej bez ryzyka, umierano bez sławy, zwyciężano bez radości. Tylko el toro pozostał czysty i nieugięty. Picasso malował „Guernikę" w gniewie, ale także w kostiumie torrera, a także w kostiumie arlekina... Przekonamy się niebawem, że nie są to jedyne kostiumy, jakie przywdziewał.

* * *

Słynny torreador i przyjaciel Picassa Luis Miguel Dominguin wspomina:

— **Dlaczego walczysz z bykami, Luis Miguel?** — zapytał kiedyś Picasso.

Jest to pytanie, na które sam wielokrotnie szukałem odpowiedzi i nie znalazłem jej. Wtedy też nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— **Dlaczego malujesz, Pablo?** — zapytałem wreszcie. Nie czekałem na odpowiedź, gdyż wiedziałem, że nigdy jej nie otrzymam.

* * *

A wszystko zaczęło się na południu Hiszpanii w dusznej Maladze, w rodzinie Jose Ruiza Blasco, miernego malarza martwych natur, gołębi i kwiatów. W październiku 1881 roku przyszedł na świat Pablo Ruiz, który po matce Marii Picasso Lopez wziął nazwisko i w wiele lat potem w gniewie namalował „Guernikę".

Przed „Guerniką", na samym początku był „okres niebieski" — prasowaczki, Żydzi, smutne matki i smutne dzieci. Postacie jak z El Greca i przenikliwe uczucie smutku, zastygłego w bezruchu. Picasso chodził głodny. Wymalował całą swoją rozpacz — nigdy jej więcej malować nie będzie. Ostatni obraz „niebieski" powstał w 1904 roku. Następnie potem krótka fascynacja cyrkiem — „okres różowych linoskoczków" — paleta gwałtownie rozjaśniona oddaje złudny blichtr sztucznego patosu.

W 1907 powstaje obraz „Panny z Avinionu", barcelońskie panienki z ulicy Avinion, potem jest pejzaż „Horta de Ebro" i praca w „ekipie" z Braquem nad tym, co Vauxcelles nazwał ironicznie kubizmem. Po skończonej „robocie" Picasso rozstaje się z Braque'm na zawsze i wraca do życia. Współpracuje z Diagilewem, spogląda w stronę Morza Śródziemnego. Bożek Pan zostaje obudzony. Picasso — panteista maluje „metamorfozy" rozpoczęte „Kobietą w koszuli", o której Eluard napisze, że **„tego ani Egipcjanie, ani Grecy, ani żaden inny artysta przed Picassem nie potrafił stworzyć".**

Nareszcie na drodze Picassa — Hiszpana staje Minotaur. Spotykają się jak na arenie, Picasso jest już sławny. Odwalił kawał roboty. Komponuje, niszczy, dekomponuje, komponuje od nowa, aby zniszczyć znowu i zacząć jeszcze raz wszystko od początku. Najpierw więc powstaje cykl „Tauromachia", dzika i okrutna ikonografia corridy, a następnie „Ślepy Minotaur", przerażające połączenie mitu kreteńskiego z motywem Edypa. Pociąga Picassa dwoistość Minotaura, jego zwierzęco-ludzka natura cierpiąca, zda się nad własną dzikością i nie mogąca pogodzić się z łagodnością. To też kostium, ale jednocześnie gorzkie wyznanie geniusza. Na jednym z rysunków Minotaur gwałci kobietę, kładąc jej jednocześnie w czułym geście swój zwierzęcy łeb na obnażonych piersiach. W „Minotauromachii" przed potworem stoi bez strachu mała dziewczynka, w ręku trzyma bukiet kwiatów i świecę. Nie wyjaśnione do końca zderzenie symboli. Jest li to dziecko przewodnikiem, czy też okrutnym sędzią. Wreszcie głowa el toro w „Guernice" — zwycięska, spokojna i czysta, z grotami rogów nie strzaskanymi. Hiszpania nie została pokonana.

„Guernikę" malował Picasso w gniewie.

Vicente Aguilera Cerni napisze: **„(Guernikę) wydał wyrok śmierci na wszystkich estetów świata".**

Nadchodzi czas strachu, przerażenia i sarkazmu. Lata wojny. Picasso spędza je w pracowni nad rysunkami. „Guernikę" wykrzyczał cały swój ból i wszystek swój protest. Jest jak ranny koń na arenie — czeka. Rok 1946 — przebudzenie z letargu. Historycy notują: „Okres Antibes": Picasso rysuje w 1949 gołębia pokoju — jest to manifestacja powrotu.

Świat złakniony spokoju daremnie czeka na ciszę. Picasso robi cykl „Masakra w Korei" i „Wojnę i pokój", ale są to tylko powtórzenia. Potem przychodzą portrety, fotele, balkony — wirtuozeria, jeszcze raz wirtuozeria. **„Robię to w każdym razie lepiej, niż ktokolwiek inny".** Wreszcie hołd złożony Velazquezowi — cykl „Las Meninas" (Dwórki), Picasso nie kopiuje, a przekłada Velazqueza na język XX wieku. To wspaniałe widowisko — Hiszpan pozdrawia ukłonem Hiszpana... i na tę okazję Picasso przywdziewa kostium.

* * *

Ale co właściwie znaczy słowo: Picasso? Napisano o nim tomy. Znamy każdy jego krok, wszystkie okoliczności powstania wszystkich obrazów. Ale czy wiemy, co znaczy Picasso?

Na pewno znaczy **uniwersalizm.** Sztuka wyspecjalizowała się jak wszystko inne. Picasso też wyspecjalizował się, tylko, że we wszystkich jej dziedzinach i dodatkowo w swoich „okresach". Samotnie i na własną rękę. Zmierzył się z epoką i historią. Przywołał do życia mit artysty renesansowego. Nie jest to jedyny mit pobudzony do życia przez Picassa.

Picasso jest na pewno malarzem **realistą.** Operował zawsze elementami rzeczywistymi. Powiedział kiedyś Zervosowi:

„Nie można działać wbrew naturze. Jest silniejsza niż najsilniejszy człowiek! Wszystkim nam zależy na dobrych z nią stosunkach. Możemy sobie pozwolić na pewną swobodę, ale jedynie w szczegółach".

Czymże więc są „okresy" Picassa? Niczym innym, jak tylko rodzajem i ilością „swobód". Przedmiot nie ulega zmianie, jest zawsze ten sam.

Picasso jest **humanistą.** Znamienne są jego słowa. Mogłyby wyjść z ust Rabelais, albo Colas Breugnon:

„Liczy się nie to, co robi artysta, ale to, czym jest. Cezanne nigdy by mnie nie zainteresował, gdyby myślał i żył jak Jacques-Emile Blanche, chociażby jabłko

BERLIN 1945

(II)

Krebs, który przerwał pierwszy milczenie, nieoczekiwanie przemówił po rosyjsku. Niezbyt dobrze, ale w ogólności zrozumiale. Nasz tłumacz milcząc patrzył na niego zdziwiony.

— Proszę tłumaczyć dalej — rozkazał mu Czujkow.

— On mówi po rosyjsku — zaoponował tłumacz.

— A ja nie rozumiem, mimo wszystko proszę tłumaczyć.

Czujkow połączył się telefonicznie z marszałkiem Żukowem i krótko zameldował dowódcy frontu o sytuacji.

— Oni zwracają się do nas na zasadzie pełnej kapitulacji, czy też nie? — zapytał marszałek Żukow.

Aparat telefoniczny był silny i wszyscy obecni usłyszeli bas marszałka w słuchawce.

Czujkow powtórzył pytanie.

Krebs: Nie, istnieją inne możliwości...

Czujkow szczegółowo poinformował Żukowa o samobójstwie Hitlera, komu została przekazana władza, że Krebs niedawno został naczelnikiem sztabu wojsk lądowych. Został przetelefonowany list — pełnomocnictwo generała artylerii.

Nie krępując się Krebsa, choć było już wiadomo, że rozumie po rosyjsku, Czujkow opowiadał marszałkowi o charakterze rokowań z ironiczną intonacją w głosie. Sprawa dotyczy Goeringa, Hitlera, Ribentroppa — gdzie są i co robią w tej chwili. Ze słów Krebsa wynika, że wielu z nich choruje. O Himmlerze osobna rozmowa. W tym momencie Krebs wykrzyknął, że Himmler jest zdrajcą, że jego zwrócenie się do sprzymierzonych i próba utworzenia nowego rządu Niemiec ogromnie rozgoryczyły Hitlera i nawet wpłynęły na decyzję o samobójstwie (notabene Krebs boi się nawet martwego Hitlera, mówi nie: „otruł się" i „zastrzelił", lecz: „odszedł z życia").

Rokowania miały następujący porządek: kilka zdań tłumaczonych przez niemieckiego i naszego tłumacza i znów Czujkow melduje przez telefon Żukowowi. Widocznie Żukow z kolei przekazuje wszystko wyżej, to znaczy Stalinowi. To stwarza pauzy, podczas których napięcie spada, a pomiędzy radzieckim dowódcą i naczelnikiem generalnego sztabu wojsk lądowych Wehrmachtu następuje wymiana replik, nie mających bezpośrednio związku z tematem.

Na przykład Krebs pisze na kawałku papieru — „Schukoff u Schuikoff" i pyta: Czy Żukow i Czujkow to jedno i to samo. Wyjaśniają mu to, co on, oczywiście i tak doskonale wie. Żukow — dowódca I Białoruskiego Frontu, a Czujkow — dowodzący 8 gwardyjską armią, która broniła Stalingradu.

Stopniowo zaczynał rozumieć, że Krebs nie przyszedł kapitulować, tylko prowadzić podstępną grę.

Ale wydaje się, że dla Czujkowa i Żukowa, cały czas włączającego się do rokowań za pośrednictwem telefonu, manewr przeciwnika dawno stał się jasny: Himmler, który zbiegł z Berlina, prowadzi rokowania ze sprzymierzonymi, a Krebs w imieniu kanclerza Goebbelsa zwraca się do radzieckiego dowództwa. Prawdopodobnie mają nadzieję, że pokłócimy się z sojusznikami, zetrzemy z sobą i to dą możliwość ginącemu hitlerowskiemu rządowi zyskania na czasie, umocnienia się, w najgorszym razie — ucieczki, ale mimo wszystko ratunku.

W dalszym ciągu cytuję swoje notatki.

Czujkow: Mowa jest o Berlinie, czy całych Niemczech?

Krebs: Mam podwójne pełnomocnictwo — całej niemieckiej armii i wojsk znajdujących się w Berlinie. Doktor Goebbels także przebywa w Berlinie.

Czujkow: Rozmowy pokojowe prowadzi się wówczas, kiedy nie strzelają armaty. Jednakże słyszy pan ogień, prowadzony przez wojska niemieckie.

Krebs: Mam pełnomocnictwo przerwać ogień w Berlinie, jeśli rozmowy przeciągną się. Oświadczam, że Niemcy jeszcze nie wiedzą o śmierci fuehrera (dzwoni telefon. Czujkow melduje marszałkowi o meritum sprawy).

Czujkow (nie odkładając słuchawki, przekazuje pytanie Żukowa): Zwracacie się do nas z propozycjami na zasadzie pełnej kapitulacji, czy też nie?

Krebs: Jestem upoważniony zorientować się czy można ustanowić pokój bez pełnej kapitulacji.

Czujkow: Czy do sprzymierzonych zwróciliście się także z takim pytaniem?

Krebs: Nie mam możliwości porozumieć się ze sprzymierzonymi, ale przypuszczam, że, być może, inny niemiecki rząd w innym miejscu już prowadzi rokowania.

Czujkow: Ta delegacja prowadzić będzie rokowania tylko z rządem radzieckim, czy także ze sprzymierzonymi?

Krebs: Pełnomocnictwa moje mogą być rozszerzone, ale jesteśmy zamknięci w Berlinie i nie możemy iść do innych władz.

Czujkow (przekazuje Żukowowi odpowiedź Krebsa i znowu zwraca się do generała artylerii): Marszałek pyta, czy prowadzicie rokowania na zasadzie ogólnej kapitulacji, czy też nie. Możemy rozmawiać, jeśli propozycja dotyczy zarówno nas jak i sprzymierzonych.

namalowane przez niego było dziesięciokrotnie piękniejsze. Nas interesuje właśnie niepokój Cezanne'a udręki van Gogha, to znaczy dramat człowieka. Reszta to fałsz".

Jest w tych słowach bunt wobec tych wszystkich działań, które odbierają człowiekowi prawo bycia sobą wobec wszystkiego, ponad wszystkim i we wszystkim.

Picasso jest malarzem **dialektycznym.** Angażującym się w konflikty. Zervos cytuje jego słowa: **„Chciałbym, by człowiek nie mógł się powtarzać. Powtarzać — to iść przeciw prawom ducha, przeciw jego ucieczce do przodu".**

Picasso stał zawsze twarzą do przyszłości. Ale też pozamykał wiele drzwi prowadzących do przeszłości.

Picasso to ruch nieustający. To ciągłe zanurzanie się w nurcie życia i w nurcie sztuki. To ciągłe niszczenie i budowanie. Tak mówi:

„Jeśli idzie o mnie, obraz jest sumą zniszczeń. Tworzę obraz i natychmiast go niszczę. Ale w ostatecznym rozrachunku nic nie ginie. Czerwień, którą usunąłem z jednego miejsca, odnajduję gdzie indziej".

Picasso był czasem **irracjonalny,** ale te stany nie mąciły mu nigdy umysłu.

* * *

Vicente Aguilera Cerni, kronikarz nowej sztuki hiszpańskiej, mówi czasem językiem poety, gdy opowiada o przykazaniach Picassa najintymniejszych:

„Przypuszczam, że są to przykazania rodem z Malagi, przykazania hiszpańskie, tauromachiczne, z banderiliami i brązem śródziemnomorskiego słońca. Wyobrażam sobie, że mówią one o przyjaciołach, którzy nie powrócili, o dzieciach, które wydorośląły i zmieniły się do niepoznania. Podejrzewam, że przykazania te przechowywane są w butelce cazalli, ku nieustającemu zdziwieniu i zawstydzeniu bogatych letników, którzy kąpią się na Lazurowym Wybrzeżu i z ciekawości odbywają pielgrzymki aż po samo ogrodzenie domu, w którym mieszka malarz".

Teraz zapewne też odbywają się pielgrzymki, może już nie tak liczne, bo śmierć wielu odstrasza — pod ogrodzenie domu, w którym mieszkał malarz — Hiszpan, arlekin i torreador, który „Guernikę" malował w gniewie.

ANDRZEJ GRUN

NA MAŁEJ BRONNEJ

(KORESPONDENCJA Z MOSKWY)

MAREK WAWRZKIEWICZ

Nie bez zazdrości obserwuję jak hierarchie wartości, wielkości i powodzenia u publiczności ulegają w moskiewskim życiu teatralnym ciągłym zmianom i korektom. Ten naturalny zdawałoby się dla życia artystycznego proces jest w praktyce trudny do osiągnięcia. Tym trudniejszy, jeśli te zmiany prowadzą ku lepszemu. A tak właśnie dzieje się w Moskwie, której teatry od prawie trzech lat odwiedzam stosunkowo regularnie. Dość niedawno do czwórki „wielkich" scen, o ustalonej już renomie — Na Tagance, im. Wachtangowa Sowremiennika i MCHAT-u — doszlusował jeszcze jeden — Moskiewski Teatr Dramatyczny na Małej Bronnej.

Teatr jest skromny, jego repertuar w zeszytach „Teatralna Moskwa" umieszczany jest na samym prawie końcu. Nie ma w szeregach jego zespołu zbyt wielu „zasłużonych" czy „ludowych artystów ZSRR". Ale mimo to — lub, jak żartują moskwiczanie — właśnie dlatego — na Małą Bronną warto chodzić i publiczność wali tam tłumnie. Teatr zresztą zaczyna być znany i poza Moskwą, a gościnne występy — trwające przez cały prawie kwiecień — przed wymagającą widownią leningradzką stały się jeszcze jednym potwierdzeniem jego wysokiej klasy. Zanim wybierzecie się na Małą Bronną — do czego gorąco zachęcam — chciałbym opowiedzieć o trzech spektaklach, które ostatnio widziałem, a które długo jeszcze będą utrzymywały się w repertuarze. Trzy spektakle — trzy epoki — trzy różne światy. A mimo to wyczuwa się w nich wiele wspólnego: pasję, z jaką były tworzone i z jaką są grane, autentyzm przeżycia bijący ze sceny i zarażający publiczność. Ale o wszystkim po kolei — a zacząć chciałbym od pozycji, która wzbudziła we mnie stosunkowo najmniejszy entuzjazm.

„Romeo i Julię" gra się na Małej Bronnej w cudownym, chyba najdoskonalszym ze wszystkich przekładzie Borysa Pasternaka, w inscenizacji A. Efrosa, reżyserii L. Durowa i dekoracjach W. Durgina. Sztuka jest wystawiona w pełnym tekście, bez żadnych skrótów i w sposób tradycyjny — tzn. kostiumowo, z romantycznym zaśpiewem i takiejż tonacji, choć napomknąć tu przystoi, że i to przedstawienie uważane jest w Moskwie za nowatorskie; nic dziwnego jeśli się weźmie pod uwagę, że „Hamlet" na Tagance, Hamlet w czarnym swetrze, bez dekoracji wywołał zapalczywe dyskusje i siarczyste potępienia. Mówi się, że Romeo (w tej roli — A. Graczew) jest współczesnym chłopakiem z moskiewskiej ulicy, Julię zaś (widziałem O. Jakowlewą) można też gdzieś spotkać i dziś. Co do mnie sądzę, że współcześni młodzieńcy nie mówią tak wiele i z takim zapałem o swych uczuciach, dzisiejsze zaś dziewczyny nie tak znów często płaczą — prawdziwymi łzami — z miłości. Waśń rodów pokazana jest jednak wyraziście i czysto, śmierć kochanków zagrana w sposób bardzo wiarygodny i mogący wzruszyć — a całość przedstawienia, mimo pewnej koturnowości i patosu — który zresztą przekonuje mnie tylko u aktorów rosyjskich — ogląda się z przyjemnością. Pomyślałem sobie przy tej okazji, że miarą autentyzmu tego wiecznego dzieła Szekspira może być zawsze — a może i jest — sposób rozegrania pojedynku Romea z Tybaldem. Jeśli jest tam wiele efektownego, hałaśliwego fechtunku — skłonny jestem traktować rzecz jako bajkę. Człowiek — w takiej ostatecznej sytuacji zabija drugiego człowieka nie po to, że pragnie jego śmierci, on raczej chce uniknąć własnej, a jedynym ratunkiem jest właśnie zabójstwo. Człowiek zabija ze strachu, przypadkiem, jednym ciosem. Tak zresztą rozegrana jest ta scena w omawianym spektaklu, przy czym warto dodać, że ogromnie przekonującą postać Tybalda tworzy Lew Durow, o którym będę jeszcze mówił.

Z klasyki — we współczesność. „Trybunał" A. Makajonoka cieszy się w Związku Radzieckim wielkim i zasłużonym powodzeniem; był już zresztą wystawiany i w Polsce, choć sądzę, że sztuka jest warta o wiele większej popularyzacji.

Mała, białoruska wioska w latach okupacji hitlerowskiej. Niektórzy jej mieszkańcy uwierzyli w faszyzm i poszli na współpracę z okupantem. Ojciec rodziny — Tiereszko — były pastuch też z pozoru przechodzi na tamtą stronę. Żona jego wraz z córkami, synem (dwaj inni walczą w szeregach Armii Czerwonej) i synowymi — urządzają sąd nad ojcem: wszyscy tatę kochają, ale ponieważ tata zdradził, wyjście jest jedno — worek na głowę i w przerębel. Oczywiście sprawa się wyjaśnia — ojciec jest członkiem ruchu oporu i takie właśnie otrzymał zadanie. Wiedzą o tym pod koniec już wszyscy, za wyjątkiem syna, który rozrywa się — opasany granatami i zabija przy tym kilku hitlerowców. Taka jest — w najbardziej skrótowym ujęciu — zasadnicza treść sztuki, tragikomedii ze świetnie narysowanymi typami, z wartką, sensacyjną niemal akcją, bardzo prawdziwej psychologicznie. Inscenizacja Dunajewa i Durowa wzbogaciła ją o cały szereg dodatkowych, psychologicznych niuansów a uniwersalna i bardzo przystająca do treści sztuki scenografia M. Sokołowej stała się istotnym uzupełnieniem tego świetnego spektaklu. Świetnego — bo cały zespół aktorski zasługuje tu na słowa najwyższego uznania, jest to — bez przesady — prawdziwy koncert gry. Nad wszystkim zaś góruje wielka kreacja Lwa Durowa, nieodparcie śmiesznego i głęboko tragicznego. Jego Tierieszko — właśnie ów ojciec, nad którym rodzina odprawia sąd — to rola—mozaika, składająca się z mnóstwa malutkich gierek podporządkowanych jednak ściśle głównej idei roli. Nie potrafię zresztą tego zanalizować, bo nie podlegają analizie rzeczy doskonałe. Powiem tylko, że Durowowi — potomkowi sławnego rodu artystów teatru i cyrku — zawdzięczam chwile głębokiego, niekontrolowanego wzruszenia, których tak rzadko doznaje się we współczesnym teatrze.

I na koniec kilka słów o trzecim spektaklu, który oglądałem na Małej Bronnej. Była nim adaptacja „Braci Karamazow" Fiodora Dostojewskiego dokonana przez Wiktora Rozowa. Utwór nosi tytuł „Brat Aloszа" a jest grany w inscenizacji A. Efrosa i scenografii W. Papiernego. I znów spektakl, który mógłby być ozdobą każdej sceny. Za sprawą adaptatora, inscenizatora i świetnego zespołu aktorskiego nad wszystkim panuje ciężki, przygnębiający klimat prozy Dostojewskiego. Jego kliniczna wręcz znajomość ciemnych zakamarków ludzkiej duszy, człowieczego nieszczęścia, upodlenia i dumy znajduje znakomitych „tłumaczy" w wykonawcach. Wymieniłbym tu przede wszystkim postacie Sniegiriewa (znów znakomity Lew Durow), Krasotkina (niezwykle dynamiczny, młody W. Łakiriew) Lizy (chimeryczna jak w książkowym prototypie N. Nikonowa) czy w epizodycznych nawet rolach K. Głazunow i S. Smirnow; rozczarował mnie natomiast manieryczny w geście i podawaniu tekstu wykonawca tytułowej roli A. Graczew. Spektakl pozostaje w pamięci na długo — nie jest to pamięć lekka, przyjemna — ale jednak dająca widzowi pewien rodzaj moralnego oczyszczenia.

W tych wielu słowach pełnych zachwytu, nie ma przesady, napisanie zaś ich uważałem za częściowe choć spłacenie długu wdzięczności wobec świetnego teatru.

Obyśmy takich długów mieli jak najwięcej.

Krebs: Aby mieć możliwość dalszego prowadzenia rozmów, proszę o czasowe przerwanie działań wojennych.

Czujkow: Dwa pytania: 1. o sojuszników, 2. pełna kapitulacja, czy też nie?

Krebs: Mam inną propozycję, dopóki nowy rząd może istnieć jako legalny rząd Niemiec.

Czujkow: Pełna kapitulacja, czy nie?

Krebs: Dopóki nie zapoznałem się z ogólną sytuacją, nie mogę o tym mówić. Gdy tylko zapoznam się z ogólnym położeniem, będę mógł rozmawiać o pełnej kapitulacji. Na razie proszę o rozejm do rokowań.

Czujkow: Czy berlińskie ugrupowania gotowe są teraz kapitulować?

Krebs: Proszę o rozejm, aby uzgodnić z całymi Niemcami złożoność położenia.

Czujkow: W odniesieniu do berlińskich ugrupowań dla pełnej kapitulacji, czy też nie?

Krebs (po rosyjsku): Prosimy o rozejm, żeby wyjaśnić, czy można zalegalizować nowy rząd dla całych Niemiec.

Nasz tłumacz powtarza to zdanie, jakby przekładał z łamanego języka na czysty rosyjski.

Czujkow (po rozmowie z Żukowem przez telefon): Zagadnienie rozejmu można rozstrzygnąć tylko na zasadzie pełnej kapitulacji, zgodnie z porozumieniem Wielkiej Trójki: Stalina, Roosevelta i Churchilla.

Przepisałem ten dialog ze swych notatek, które zachowały się w archiwum Ministerstwa Obrony ZSRR. Przepisałem i pomyślałem: Przecież ta rozmowa może bez poprawek wejść do sztuki, powiedzmy, historycznego dramatu. Wydaje mi się, że jednostajność pytań Czujkowa nie obniżyłaby dramaturgii sytuacji. W tej monotonii jest swoiste dostojeństwo. Radziecki generał nie stwierdza po prostu wciąż tego samego, on rozstrzyga końcówkę, którą cztery lata widział przez ogień i dym. Nie było jeszcze żadnych dyrektyw z Moskwy, lecz jestem przekonany, że gdyby na miejscu marszałka i generała broni znaleźli się pułkownik czy major, porucznik, albo szeregowiec, rozmawialiby z Niemcami dokładnie tak samo, żądali tego samego.

Krebs za każdym razem, gdy dosięga go słowo — kapitulacja — ukrywa głowę w ramionach, lekko marszcząc się.

Krebs: Obawiam się, że przed ogłoszeniem testamentu Hitlera jacyś inni przedstawiciele prowadzili rozmowy ze sprzymierzonymi.

Czujkow: Nasze biuro informacyjne już o tym powiadomiło. Dlaczego pan się obawia?

Niemiecki tłumacz: Słyszeliśmy o tym przez radio, jeszcze za życia Hitlera.

Krebs nerwowo i z jakąś zaciętością replikuje:

— Proszę nie zwracać uwagi na wypowiedzi tłumacza, które są jego własnymi myślami. Ja osobiście dostatecznie dobrze mówię po rosyjsku.

Czujkow: W swojej wypowiedzi opieram się na decyzji konferencji przywódców trzech mocarstw.

Krebs: Przybyłem po to, aby poznać pełne położenie.

Czujkow (patrzy na zegarek): Za kilka minut muszę zaczynać aktywne działania wojenne.

Szerokie okno jadalni, gdzie toczą się rokowania, zasłonięte jest jak storą, arkuszem czarnego papieru, używanego zwykle do pakietów z fotografiami. Szyba najwidoczniej wybita i kiedy rozlegają się wystrzały, papier drży. W cienką szczelinę przenika blady, nieokreślony świt. Nastaje majowy ranek.

Pułkownik Tołkaniuk, pracownik sztabu (jest teraz generałem dywizji, a przy tym poetą, ukazała się książka jego wierszy) otrzymuje dokumenty, przywiezione przez Krebsa i wyprawia się z nimi do marszałka Żukowa. Rokowania trwają.

Krebs: Zapewne wam wiadomo, jakimi dysponujemy siłami. My wiemy, jakie są wasze siły.

Czujkow: Nie chcę pomniejszać waszych sił, ani też przeceniać swoich, lecz nie zazdroszczę garnizonowi Berlina. W Stalingradzie obroniłem się, ale moja sytuacja była kilkakrotnie lepsza niż wasza.

Krebs: Gotowi jesteśmy bić się do ostatniego.

Czujkow: Cześć i chwała walczącym do ostatniego.

Krebs: W wypadku zniszczenia jedynych legalnych osobistości, znających testament Hitlera, nie będzie można prowadzić rokowań. Jak będzie wyglądać zagadnienie rządu?

Czujkow: Na Boga, nie mogę w tej sprawie niczego powiedzieć. Jestem w stanie rozstrzygnąć problem bezwarunkowej kapitulacji.

Czuję, że dowódca armii miał ochotę uśmiechnąć się, może wybuchnąć śmiechem. Ale nie naruszył wymowy tych minut.

W schronie, u brzegów Wołgi, w listopadzie 1942 roku, nieraz padało pytanie o Berlin. Byliśmy okrążeni, przyciśnięci do rzeki, w której płonęła lejąca się nafta.

Rozmowa dotyczyła starć ulicznych, taktyki zajmowania dzielnic, walki, gdy przeciwnik znajduje się na różnych piętrach tego samego domu. W sztabie armii opracowaliśmy sposoby walki, narzuconej nam w Stalingradzie.

Któryś z dowódców zauważył wówczas, że kiedy pójdziemy na zachód to niewiadomo, czy przyda się ta taktyka — przed nami szerokie przestrzenie pól i lasów, wielkie rzeki.

Czujkow odparł: Nie zapominajcie, że przyjdzie nam zdobywać Berlin, a jest to jak wiadomo jedno z większych miast Europy.

Ta rozmowa była nienaturalna i powszednia, jak nienaturalna i powszednia była sama wojna. Należało rozbić faszystowskie hordy w mieście w rozwidleniu Wołgi — Donu, były przed nami walki jeszcze nie wiadomo na jakich rubieżach, zwycięstwa, klęski i straty. Ale mówiło się o taktyce boju w Berlinie, oddalonym o przeszło 3 tysiące kilometrów.

Każdy z nas dobrze wiedział — jeśli przeżyje będzie w Berlinie i w tym sensie nasze fantastyczne rozmowy były nie tyle proroctwami, ile wynikały z trzeźwego przekonania.

EUGENIUSZ DOŁMATOWSKI

Przełożył: Konrad Frejdlich

WOICIECH B. MENCEL

(PAWEŁ JANOWICZ)

KSIĘGA MIRAŻY

Wieczory od łez sine i latarnie smutne
bardziej niż tamte noce, gdy garściami z nieba
wiatr sypał w okno gwiazdy;
pokój srebrniał w mroku,
a oczy pełne świateł, gorące jak morza
błądziły nieruchomo po kutych broszkach zodiaku.

Patos mistycznych rozżaleń...
mój smutny przyjacielu! — święty Franciszek umarł...
kochasz zastygłe kwiaty?
umarłe kwiaty czy kochasz? —
patrz! — złote kaplice ptaków
w kompozycjach cieni na witrażach
światłocieniem przesuwają się z wolna.
Melodia, której nie słuchasz
zaraz umilknie w organach —
nie odwracaj myśli od serca:
kościoły najpiękniejsze są rano.

Linia życia łagodnie
na twej dłoni wygięta ku światłu
— odloty ptaków nie obce —
zapadłeś w świętą geometrię nocy
ukochaniem sosnowych pniaków.

Poręczami słów się chwytałeś — ukosem przebiegał zakręt —
kroki dudniły jak pieniądz —
myślałeś — — —
magiczne formuły zaklęć uchylą piękno?

A pola były jak miłość
i miedze krokiem szerokie
— kolumbiadami snów, wpław, przeciw prądom —
na zboczach kwietnych gór,
na krawędziach mistycznych ołtarzy
— odpoznasz ciepło rąk drogich
znalezione w Księdze Miraży.

Dziewczynom słodycz odrzucić, banalnym jak zwrotki,
uśmiechy oczom odcięte niech płyną w ekstazach w błękit!
my
na powiekach rzęsami
jak do modlitwy przymkniętych
wstrzymamy przeciekającą młodość.

★
★ ★

Pisano o nich niemało w artykułach, wspomnieniach, książkach, pracach naukowych *). Drukowano ich wiersze, pamiętniki, listy. Wystawiano ich dramaty i poematy w teatrze, telewizji, radio. Imiona ich widnieją na tablicach pamiątkowych, w rejestrach zasłużonych, w antologiach... Poeci-żołnierze, polegli w walce z najeźdźcą, studenci konspiracyjnego uniwersytetu, autorzy konspiracyjnych tomików, redaktorzy i współpracownicy konspiracyjnego miesięcznika literackiego „Sztuka i Naród" (SiN): Krzysztof K. Baczyński, Gaycy-Topornicki, Stroiński-Chmura, Trzebiński-Łomień, Bojarski-Marzec, Mencel-Janowicz...

Ci młodzi, utalentowani chłopcy, przedwcześnie dojrzali i przedwcześnie polegli, weszli na trwałe do historii literatury czasów wojny i okupacji i utrwalili się w pamięci narodu.

Znałem ich. Choć starszy od nich — uczestniczyłem czasem w ich tajemnych pogwarkach i działaniach w czasach okupacji. Jeśli raz jeszcze publikuję wspomnienie o nich — a raczej o jednym z nich, najmłodszym, którego znałem od lat chłopięcych — Wojtku Menclu, to po to, by w 550 rocznicę Łodzi, stolicy ziemi łódzkiej, przypomnieć i wyakcentować pewne szczegóły z biografii Mencla, wiążące go z naszym regionem.

Wojtek Mencel — a metrykalnie Bernard Wojciech Mencel, urodził się 21 maja 1923 roku w sąsiadujących z Łodzią Pabianicach, w domu przy ul. Krótkiej 5. Ojciec jego, Bernard Mencel, człowiek wesoły, ruchliwy, towarzyski, ceniony mistrz malarski, czynny w swoim czasie w towarzystwach śpiewaczych i sportowych, był popularną, lubianą postacią w tym niewielkim, fabrycznym mieście. Matka Wojtka, żyjąca do dziś w Łodzi — Salomea z domu Malinowska, wyszła ze staromiejskiej, rozbudowanej, pabianickiej rodziny.

Wojtek, po ukończeniu podstawowej szkoły, uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Śniadeckich w Pabianicach. Po przeniesieniu się rodziców do Warszawy w 1937 roku, wstąpił do III Miejskiego Gimnazjum, a potem przeniósł się do Gimnazjum im. Batorego, gdzie uzyskał małą maturę. Wybuch wojny w 1939 r. sprawił, że świadectwo dojrzałości zdobył już na tajnie działających kompletach gimnazjalnych. Studia rozpoczął na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, pod kierunkiem prof. Juliana Krzyżanowskiego i prof. Witolda Doroszewskiego. Wciągnął się w tym czasie w wir życia konspiracyjnego: podziemna podchorążówka, akcje sabotażu kolejowego, ratowanie dzieci żydowskich z getta (pracował jako dozorca nocny na placu węglowym przy bocznicy kolejowej W-wa Zachodnia). Na owej nocnej służbie godził akcje sabotażowe ze studiami i pracą literacką. Związał się przyjaźnią i współpracą z wymienionymi na wstępie młodymi poetami z grupy SZTUKI i NARODU, kolegami z tajnych studiów.

W Powstaniu Warszawskim dwudziestoletni kapral podchorąży Wojtek Mencel, jest dowódcą patrolu megafon. AK w rejonie Śródmieścia.

W dniu 13 września 1944 roku, w przebiegu przez ul. Marszałkowską, padł od kuli strzelca wyborowego.

Ten młody chłopiec zostawił po sobie dość spory dorobek poetycki i wydany konspiracyjnie w niewielkiej ilości egzemplarzy, odbitych na maszynie, poemat dramatyczny „Przed świtem", o którym pisano, że bezpowrotnie zginął pod gruzami Warszawy. Poemat, na szczęście, ocalał w moich szpargałach i został w całości opublikowany w mies. „Życie i myśl" w 1965 r. Niestety, prawie wszystkie jego wiersze, poszły za nim do grobu.

Na kilka dni przed śmiercią Wojtka, zakopaliśmy zabezpieczone w metalowych puszkach jego i moje wiersze i niektóre dokumenty, w jednej z piwnic warszawskich. Dziś, po latach, nie sposób odnaleźć owego miejsca. Ocalało sporo jego listów, bardzo osobistych, pisanych do Janki Jędrykówny, od której imienia przybrał Wojtek swój konspiracyjny pseudonim — Janowicz.

Nazwisko Wojtka Mencla wiązane jest w licznych wspomnieniach z Warszawą, z warszawskimi poetami okresu okupacji, z Powstaniem Warszawskim... Zapomina się przecież w jego biografiach o rodzinnym mieście — Pabianicach, gdzie spędził trzy czwarte swego życia. Zapomina się o jego rodzinnym mieście, z którym do końca utrzymywał serdeczną więź poprzez rodzinę, krewnych, przyjaciół młodości, szkołę.

W dostojną rocznicę stolicy ziemi łódzkiej, oddajmy imię bohaterskiego poety-żołnierza rodzinnym Pabianicom, choćby tylko tym krótkim wspomnieniem i przypomnieniem.

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

*) Bartelski, Bratny, Ubycz, Radzymińska, Bury, dr Jastrzębski i in.

WASYL KOCZNOW

AJGI

Gennadij Ajgi — wybitny współczesny poeta czuwaski, reformator wersyfikacji, znany tłumacz. Wiersze jego charakteryzuje niebywałe wprost sprzężenie lirycznego podmiotu z rzeczywistością, przyrody i pełnej dramatyzmu historii. Jest w nich zdziwione poznawanie w każdej chwili ulotnej — wieczności, o której przypominają poecie obrazy przeszłości, wspomnienia i asocjacje przetworzone w wizje poetyckie dzięki kreacyjnej sile ich twórcy. W tych wierszach obecne jest marzenie i rzeczywistość sen i jawa, to co jest i to, co powinno nadejść i spełnić się.

Tę nośność i bogactwo treści obrazu poetyckiego Giennadij Ajgi osiąga poprzez rozerwanie tradycyjnych sposobów wersyfikacji. Wiersz jego podporządkowuje się rozpędzonym jak lawina żywiołom języka, żywiołom, które nie ograniczają brzegów dyscypliny poetyckiej. Ojczysta Czuwaszia wkracza swobodnie i samobytnie do wierszy G. Ajgi. Dzieje się to nie tylko z nakazu serca poety, jest to nakaz historii: Czuwaszowie dopiero teraz zaczynają czerpać z bogactw kultury światowej, choć jest to jeden z najstarszych narodów świata, który wywodzi się od legendarnych Bułgarów znad brzegów Wołgi i Kamy. Język Czuwaszów podobny jest do tatarskiego, lecz niemały wpływ wywarły nań plemiona fińskie osiadłe nad środkową Wołgą. Etnografowie wysuwają hipotezę, że plemiona fińskie, które dostały się pod silny wpływ Turańczyków dały początek narodowości czuwaskiej, a ta z kolei pokonana została przez groźny dla całej Europy wschodniej Chanat Kazański. Historycy odnotowują, że w XVII—XVIII w. Czuwaszowie brali udział w rewolucyjnych ruchach chłopskich pod wodzą Iwana Bołotnikowa, Stiepana Razina i Jemieliana Pugaczowa.

Do Rewolucji Październikowej Czuwaszowie byli w swej masie wieśniakami, bardzo zresztą przywiązanymi do swych narodowych tradycji i obyczajów. Władza radziecka ustanowiona została w Czuwaszii już 12 listopada 1917 roku, a w roku 1920 utworzono Czuwaski Obwód Autonomiczny, który po pięciu latach rozrósł się w Czuwaską Autonomiczną Republikę Radziecką ze stolicą w Czeboksarach.

Czuwaszowie są bardzo pracowici, a wielu spośród nich wykazało się wielkim talentem w różnych dziedzinach sztuki i nauki. Zauważyli to już etnografowie w carskiej Rosji podkreślając, że choć chrześcijaństwo zostało przyjęte przez Czuwaszów bez wewnętrznych oporów, to jednak pozostają oni wierni starej religii oddając siłom przyrody, a u podstaw ich wierzeń znajdują się dwa prapoczątki: Dobro i Zło. Religia chrześcijańska zaadoptowana została przez pierwotne wierzenia z charakterystyczną dla nich fetyszyzacją — na przykład ikonę Czuwaszowie nazywali „Bogiem kąta domowego" i odwracali ją twarzą do ściany, gdy w izbie działo się coś grzesznego.

Prawdziwe odrodzenie duchowe nastąpiło u Czuwaszów dopiero po Rewolucji Październikowej. Republika ma własne instytuty i szkoły. Uczeni i pisarze czuwascy stali się znani poza granicami Republiki. Dumą Czuwaszii jest kosmonauta Andrian Nikołajew. Poemat „Narspi" K. Iwanowa — klasyka czuwaskiego z końca XIX i początków XX wieku, krzewiciela oświaty — ceniony jest nie tylko przez ludzi czytających po czuwasku i po rosyjsku, lecz został również z zachwytem przyjęty przez Francuzów. Dlatego też Ajgi nie mógł odmówić wydawnictwu Editeur Francais Reunis, gdy to zwróciło się z prośbą o przygotowanie obszernej antologii czuwaskiej poezji. Znany w Polsce zach.-niemiecki tłumacz Karl Dedecius zainteresował się również twórczością G. Ajgi i jego staraniem wydany został we Frankfurcie przez wydawnictwo „Edition Suhrkamp" tom wierszy Ajgi w serii „Klassiker der Moderne".

Chyba jednak najwcześniej zainteresowano się Giennadijem Ajgi w Polsce. Łączy go bliska i serdeczna przyjaźń z wieloma ludźmi pióra. Z wierszami Ajgi polski czytelnik miał okazję zapoznać się poprzez publikacje „Twórczości", „Kultury", „Poezji", „Faktów i Myśli". Umieszczane też były w autorskich tomikach poetyckich, jak np. „Przygody w Babilonie" W. Woroszylskiego, czy też w zbiorkach poezji rosyjskiej i radzieckiej. Niedawno przekazano polskiemu czytelnikowi dwutomową antologię „Najnowsza poezja rosyjska" w której znalazły się również wiersze Ajgi, gdyż poeta pisze również po rosyjsku. PIW przygotowuje do druku tom poezji Ajgi.

W roku 1972 G. Ajgi otrzymał francuską nagrodę literacką Paula Defeille'a za antologię „Poeci Francji" w języku czuwaskim. W antologii znaleźć można wiersze poczynając od Villona aż do współczesnych poetów francuskich, które G. Ajgi sam przetłumaczył. Antologia ta została przez francuską krytykę literacką uznana za najwybitniejszą pozycję przekładową z języka francuskiego na język obcy. Nie trzeba chyba podkreślać jakiego wysiłku i talentu wymagało opracowanie takiego obszernego tomu, jak świetnie przekazano oryginalność i bogactwo poetyckie jednego z najbogatszych literacko krajów Europy w języku czuwaskim, którym włada niewielki naród zamieszkały na środkowym Powołżu (nieco ponad 1 mln ludzi) i nie mający własnej literatury aż do drugiej połowy XIX wieku.

GIENNADIJ AJGI

Obłoki

W tej pustej wsi
nędzne łachy zdawały się niczyje
na kołkach płotów
i nad nimi były niczyje obłoki
i na obłokach ślady
chudych i dzikich dzieci
i muzyka
o piersiach kobiet Hunnów i Scytów
a na pościeli
na wysokości źrenic
gdzieś w zalzawionych rzęsach
ktoś umierał i płakał
zanim pojąłem
po raz ostatni
że to była matka

Przełożyli:
Wasyl Kocznow i Mieczysław M. Szargan

Dom przyjaciół

Tu było przymierze
oddechu, głosu i ruchu
w ich pierwotnym kształcie.

Trzeba było utracić
by pojąć.

I wszystko przenikało
światło głosu, światło spojrzenia, światło ciszy
i gdzieś za tą jasnością
płakały dzieci
i odtwarzał płomień świecy
nasze kroki.

Ukryci
w substancji życia
gdzieś obok śmierci,
ognia i czasu
sami byliśmy
ich twórcami.

Przełożył: Wasyl Kocznow

Dziewczynka w dzieciństwie

Ucieka
jak świetlista smuga w pole

gdzie biało-tekturowa gryka
jest ścięta lasem

ptaki jak trzcinki
przyjmują szum lasu na szyje

warkoczyki jej na plecach byle jak
we śnie obejmują wieś
gdy patrzeć na nie z wieży strażnicz

i tam na wydmuchu na wietrze
za dalekim sercem złotej ulewy
jodła bez jodły gra
w ju bez ju

Przełożył: Wasyl Kocznow

NA WYSPIE tortur i śmierci

Władze sajgońskie uwolniły stu osiemdziesięciu „prokomunistycznie nastrojonych" Południowowietnamczyków, którzy wiele lat spędzili na wyspie Kończoń, w ciasnych celach więziennych, których już tylko sama nazwa: „tygrysie klatki", wywołuje ciarki na ciele.

W ten sposób sajgoński reżim chciał się pozbyć świadków. Jak wiadomo bowiem, zgodnie z postanowieniami porozumienia paryskiego, członkowie komisji międzynarodowych mogą teraz wizytować więzienia w Południowym Wietnamie.

Uwolnieni z Kończoń Południowowietnamczycy, po koszmarnych przeżyciach w tych katowniach, pozostaną na zawsze kalekami. Są podobni do szkieletów, ich nogi i ręce, zdeformowane od kajdan i łańcuchów, i pozbawione czucia, ulegają stopniowej atrofii. Tysiące Południowowietnamczyków męczy się tam nadal.

Amerykański lekarz, John Champlin, który zbadał niektórych byłych więźniów z wyspy Kończoń w jednej z pagód, gdzie przebywają teraz, mówi: **„Skonstatowałem ogólną atrofię mięśni, spowodowaną szeregiem faktów, których objaśnienie nie wymaga specjalnych umiejętności — złe pożywienie, pozbawione witaminy B. Ponadto stwierdziłem atrofię systemu nerwowego, jako następstwo braku ruchu w celach więziennych. Paraliż wystąpił już po czterech lub pięciu miesiącach pobytu w więzieniu. Niektórzy więźniowie Kończoń mają sparaliżowane nogi i biodra aż do miednicy. Są widoczne urazy, spowodowane biciem oraz rany na kostkach nóg od zakucia w kajdany. Być może, iż długotrwałe, intensywne leczenie i odpoczynek pomogłyby tym ludziom, może znów mogliby stanąć na nogach, ale w warunkach Południowego Wietnamu jest to nie do pomyślenia. Część z byłych więźniów zapadła na gruźlicę. Karmiono ich zgniłym ryżem, rojącym się od robactwa. Stwierdziłem też oparzenia, wywołane niegaszonym wapnem, którym strażnicy posypywali więźniów"...**

Tyle amerykański lekarz. A teraz francuski dziennikarz z „Nouvel Observateur":

„W ciągu ośmiu godzin, które spędziłem z czternastoma byłymi więźniami na wyspie Kończoń, nie mogłem wyjść z podziwu dla ich opanowania i pogody ducha. Równym, spokojnym głosem opowiadali mi o przeżytych mękach, torturach, znęcaniu się, wymieniając nieraz nazwiska swych katów oraz tych swoich towarzyszy niedoli, którzy nie wytrzymali tortur. Trzynastu spośród nich pochodzi z Południowego Wietnamu, czternasty jest Wietnamczykiem chińskiego pochodzenia i określa siebie jako „wietnamskiego nacjonalistę, sprzyjającego ruchowi wyzwolenia".

Jeden z nich ma dwadzieścia jeden lat, jest robotnikiem. Został aresztowany w Sajgonie w czerwcu 1967 roku wraz z żoną i dwojgiem dzieci. Starsze miało cztery lata, młodsze osiemnaście miesięcy. Opowiada, że „zajmował się polityką od 1955 roku, należąc do ruchu buddyjskiego i wraz i innymi buddystami żądał przestrzegania porozumień genewskich". Zatrzymano go podczas demonstracji w Sajgonie, zorganizowanej na znak protestu przeciwko agresji Stanów Zjednoczonych na Wietnam. W komisariacie policji dzielnicy Tanszoniat, leżącej opodal portu lotniczego w Sajgonie, jego i jego żonę, będącą w ciąży, poddano okrutnym torturom. Oskarżono ich o działalność komunistyczną. Dzieci zmuszono do przyglądania się torturom matki. Znęcanie się nad żoną spowodowało przedwczesny poród.

Tortury były najbardziej wymyślne i okrutne: do uszu ofiar, nóg i narządów płciowych przykładano elektrody i przepuszczano prąd, podwieszano za nogi, topiono w kadzi z mydlinami, łamano palce. Często kierowano oślepiający strumień światła w twarz, i przy pomocy specjalnego urządzenia nie pozwalano zamknąć oczu...

Byli więźniowie Kończoń nie ukrywają swej nienawiści do reżimu sajgońskiego. Opowiadają, że nawet podczas tortur odmawiali uznania rządu, istniejącego wyłącznie dzięki poparciu Stanów Zjednoczonych.

Z wydziału bezpieczeństwa przewożono więźniów do policyjnego więzienia w Sajgonie przy ulicy Bo Tań, gdzie po kilka miesięcy trzymano ich w celach, katując niemiłosiernie. Sajgońscy oprawcy robili, co im się żywnie podobało.

Jednakże już w 1968 roku, wraz z dwunastoma innymi więźniami, załadowano go do samolotu „DS-3", który dostawił ich na wyspę Kończoń. Zaraz po wylądowaniu zbili ich strażnicy więzienni. Była to pierwsza „znajomość" z więzieniem na wyspie, w którym mój rozmówca znajdował się do lutego 1973 roku, w potwornie zatłoczonej „tygrysiej klatce". Klatki w ich bloku były usytuowane w dwóch rzędach, w każdym po trzydzieści cel. Od 1967 roku w „tygrysich klatkach" tego bloku zaczęto więzić także kobiety. Klatki mają dwa i pół metra długości i półtora szerokości, ściany z dużych kamieni, zamiast podłogi — ziemię, od góry żelazne kraty, na których ułożono kładki z desek, dla dyżurujących strażników. Więźniów, stłoczonych po ośmiu w jednej klatce, po prostu przykuwano za nogi do poprzecznej stalowej belki. Wielu umierało, wielu postradało rozum. Ich rozpaczliwe jęki słyszało się dniem i nocą.

Więźniom nie wolno rozmawiać, nie wolno im też ani siedzieć, ani leżeć, najmniejsze naruszenie tych zakazów pociąga za sobą niemiłosierne bicie.

Z góry, przez kraty, oprawcy sypali na więźniów niegaszone wapno, które parzyło skórę, przenikało do oczu i płuc. Nieraz strażnicy „zabawiali się", kłując więźniów zaostrzonymi bambusowymi żerdziami.

Jedzenie ohydne: zgniły ryż z robakami, kawałki ryby, wysuszone i twarde jak drewno, i kilka łyków wody. Pożywienie wydawano o ósmej rano i o drugiej po południu. Przez osiemnaście godzin więźniowie znosili męki głodu, przy czym na rozdział posiłków przeznaczano zaledwie trzy minuty.

Raz na tydzień przysługiwało im prawo do „kąpieli": z góry wylewano na nich wiadro wody. Cała opieka lekarska sprowadzała się do dwóch „zabiegów": niezależnie od rodzaju cierpienia chorym wydawano jedną tabletkę aspiryny lub ciężko bito, co, jak żartowali strażnicy, było także „środkiem leczniczym".

W czerwcu 1970 roku — opowiada jeden z byłych więźniów tej wyspy tortur — po wizytacji więzienia przez grupę cywilnych Amerykanów, przeniesiono nas do pomieszczenia rozdzielonego przegrodami, które uprzednio służyło bydłu za chlew. Jednakże stosunek strażników do nas nie zmienił się ani trochę. Jedynym „przywilejem" było troszeczkę więcej miejsca, można było wyciągnąć nogi.

Po upływie kilku miesięcy, za amerykańskie kredyty, wybudowano nowe „tygrysie klatki". W przybliżeniu miały one takie same wymiary, jak stare, ale na dodatek przykryto je od góry. W konsekwencji w celach było potwornie gorąco i duszno"...

„PARALIŻU NIE STWIERDZONO"...

Więźniowie, doprowadzeni do rozpaczy głodem i nieludzkim stosunkiem strażników, niejednokrotnie podnosili bunty. Największy wybuchł w październiku 1972 roku. Jednakże wszelkie protesty krwawo tłumiono.

W czerwcu 1970 roku, sześciu południowowietnamskich studentów, wtrąconych do „tygrysich klatek" Kończoń, napisało list, protestujący przeciwko nieludzkiemu obchodzeniu się z więźniami. Jego treścią udało się zainteresować Kongres Stanów Zjednoczonych. Okropności, opisane na siedemnastu stronach tego listu, są wstrząsające, w niektóre trudno wprost uwierzyć. Amerykańskiemu dziennikarzowi Down Lusowi, akredytowanemu w Genewie, udało się, w składzie delegacji senatorów amerykańskich, przylecieć samolotem na wyspę Kończoń, a nawet obejrzeć jedną z „tygrysich klatek".

Władze sajgońskie i amerykańscy doradcy, którzy bez zmrużenia powiek twierdzili, że „tygrysie klatki" w Południowym Wietnamie w ogóle nie istnieją, w obliczu niezliczonych faktów, pojawiających się na łamach prasy światowej, a w szczególności po doniesieniach Down Lusa, złożyli takie oto oświadczenie: „Czterystu komunistycznych przestępców izolowano czasowo w specjalnie przeznaczonym dla nich miejscu, w celu resocjalizacji. Było to tylko czasowe ograniczenie wolności. Do chwili obecnej nie zarejestrowano ani jednego przypadku paraliżu"...

A jednak do dzisiejszego dnia nie udało się przedstawicielom Międzynarodowego Czerwonego Krzyża uzyskać zezwolenia na obejrzenie tego „czasowego miejsca izolacji"...

Stu osiemdziesięciu więźniów Kończoń uwolniono. Ale, jak wiadomo, w ośmiu więzieniach na wyspie wciąż jeszcze pozostaje dziewięć tysięcy uwięzionych.

Niedawno do Międzynarodowej Komisji Kontroli i Nadzoru dotarł „list dziewięciu tysięcy więźniów politycznych Kończoń". Mowa w nim o okrutnym obchodzeniu się z więźniami, wbrew obowiązującym punktom porozumienia paryskiego, podpisanego także przez administrację sajgońską.

Te nieludzkie praktyki reżimu sajgońskiego potępia cała światowa opinia publiczna.

Opracował: J. CZECH

Nie oszczędzono na tej ziemi nikogo ani niczego...

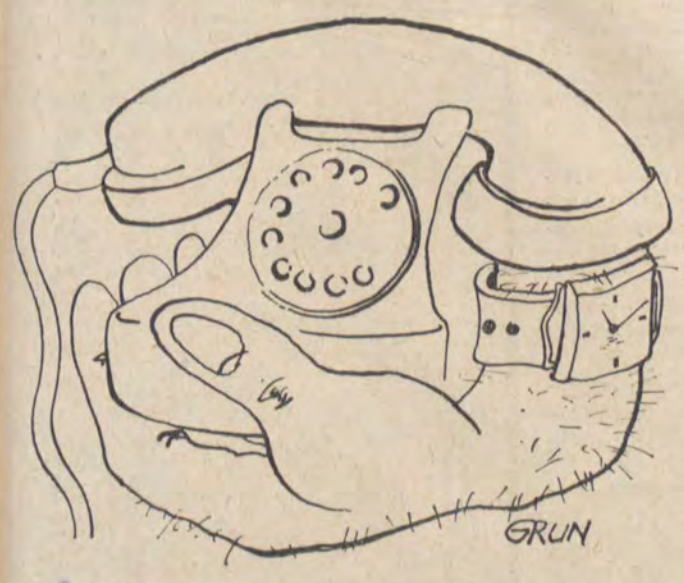

Telefon zaufania

Trzecim człowiekiem na świecie, który otrzymał Złoty Medal Alberta Schweitzera, jest Anglik Chad Varan, twórca i założyciel pierwszego Telefonu Zaufania. Telefon Zaufania kontynuuje humanitarną ideę poszanowania życia — ma bowiem zapobiegać samobójstwom, które są najbardziej drastycznym objawem nieprzystosowania człowieka do życia we współczesnej cywilizacji technicznej. Badania statystyczne prowadzone w Anglii w ostatnich latach wykazały, że od czasu działania tamtejszej pomocy telefonicznej notuje się spadek samobójstw o 1/3! Wobec obserwowanego na całym świecie wzrostu liczby samobójstw jest to osiągnięcie niezwykłej doniosłości.

Obserwacje i badania poświęcone samobójstwom na świecie dowodzą, że jest to głównie zjawisko miejskie. Rozwój cywilizacji uprzemysłowienia i urbanizacji prowadzi do zwiększenia wymagań, jeśli chodzi o sprawność i zdolność adaptacyjną człowieka, a objawy złego przystosowania powodują coraz częściej konflikty z otoczeniem i samym sobą. Coraz częściej człowiek mieszkający w wielkim mieście czuje się samotny. Na całym świecie wzrasta ilość chorych na nerwice, wzrasta zużycie leków uspokajających, pobudzających i nasennych, a wraz z tym wzrasta zapotrzebowanie na pomoc psychiatryczną. Jedną z form doraźnej pomocy w przypadkach załamań czy konfliktów ambicjonalnych, emocjonalnych czy prawnych jest Telefon Zaufania. Ma on za zadanie drogą psychoterapii z jednej strony a udzielania porad fachowych w zakresie prawa, medycyny, psychologii i pedagogiki z drugiej strony pomagać w rozwikłaniu problemów psychiatryczno-psychologicznych i adaptacyjno-życiowych. **Anonimowość porady stanowi dodatkową zachętę do korzystania z tego typu pomocy.**

Problem samobójstw spowodował, że w 1964 roku w Pradze zorganizowano pierwszą w krajach socjalistycznych „Linię Zaufania". Obecnie funkcjonują Telefony Zaufania w wielu miastach Czechosłowacji (od 1968 r. w Bratysławie). W Polsce pierwszy Telefon — „Anonimowy Przyjaciel" powstał w Gdańsku w 1967 r. W tym samym roku zorganizowano Telefon Zaufania we Wrocławiu. Następne powstały w Poznaniu, Warszawie, Krakowie, Lublinie, Bydgoszczy i Białymstoku. Na skutek bardzo dużej ilości zgłaszanych problemów adaptacyjnych i wychowawczych młodzieży wyodrębniono Młodzieżowe Telefony Zaufania, działające już w Warszawie i Gdańsku. **Można więc powiedzieć, że w miastach Polski obserwuje się potrzebę działania placówki, która by drogą anonimową zapewniała życzliwą poradę i pomoc.**

W połowie października 1972 roku odbyło się dwudniowe spotkanie przedstawicieli Telefonów Zaufania w Polsce. Obok wspomnianego już Chad Varana wzięli w nim udział założyciele pierwszych Telefonów Zaufania w naszym kraju — prof. dr Tadeusz Kielanowski z Gdańska, prof. dr Adam Bukowczyk z Wrocławia, przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz sekretarze Międzynarodowej Federacji Pomocy Telefonicznej (Federation International des Serwices de Secours par Telephone) — Numa Tetaz i Raynold Martin oraz przedstawiciele Telefonów z Czechosłowacji.

Anonimowi rozmówcy to ludzie znajdujący się chwilowo w złym stanie psychicznym, mający poważne kłopoty rodzinne, zawodowe czy uczuciowe. Ludzie ci potrzebują serdecznego, cierpliwego, mądrego wysłuchania. Słuchanie jest trudną sztuką, podobnie jak prowadzenie dialogu i udzielanie rad, które obok doświadczenia życiowego i posiadania wiadomości fachowych (psychologia, psychiatria, socjologia, prawo) — wymagają zaangażowania emocjonalnego i zdolności do wczuwania się w przeżycia innych ludzi. Badania francuskie wykazały na przykład, że mniej istotny jest w tym wypadku zawód dyżurującego przy Telefonie Zaufania, a ważniejsze jego ogólne cechy osobowości, takie jak inteligencja czy wspomniana wyżej empatia. We Francji skonstruowano nawet całą serię testów psychologicznych pozwalających ustalić, czy posiada się predyspozycje do dyżurowania przy Telefonie Zaufania.

Doświadczenia polskie wykazują, że w pewnych wypadkach słowo i anonimowy kontakt nie wystarczają, rozmówca prosi o spotkanie, a czasem o konkretną pomoc czy interwencję w stosunki rodzinne, zawodowe czy szkolne. Jest to naturalnie odmienna forma udzielania pomocy, ale doświadczeni pracownicy Telefonów akceptują ją i rozszerzają zakres niesionej pomocy. W Krakowie mgr A. Skotnicka jako konsekwencję dialogu telefonicznego zorganizowała Klub Samotnych „Amicus", który prowadzi akcję odczytową, dyskusje, spotkania teatralne dla tych, którzy sami nie mają możliwości czy umiejętności znalezienia sobie środowiska ludzi o zbliżonych zainteresowaniach.

Potrzebą psychiczną, której zaspokojenie jest konieczne do harmonijnego funkcjonowania osobowości, jest potrzeba wzajemności, poczucie łączności psychicznej, uświadomienie sobie zainteresowania ze strony drugiego człowieka. Bardzo szeroko pisze o tym socjolog prof. Jan Szczepański w książce „Elementarne pojęcia socjologii", a także psychiatra prof. Antoni Kępiński w książkach „Psychopatologia nerwic" i „Rytm życia". **W praktyce okazuje się, że ludzie często nie znajdują w swoim otoczeniu tego zainteresowania.** Nie ma na to czasu i warunków w normalnym gabinecie lekarskim (kolejka czekająca za drzwiami), w zakładzie pracy a niestety czasem i w domu rodzinnym. Natomiast Telefon Zaufania, jako zasadnicze założenie swej działalności przyjmuje chęć wysłuchania, udzielenia rady czy nawet konkretnej pomocy.

Człowiek, który często spotyka się w swoim otoczeniu z potępieniem, wrogością lub obojętnością, potrzebuje życzliwego zainteresowania i tzw. dobrego słowa. I właśnie anonimowa rozmowa telefoniczna staje się rodzajem psychoterapii, która przez swoją niekrępującą formę może niekiedy najskuteczniej pomóc samotnym, czy przeżywającym depresje lub załamania.

Stale rosnąca liczba samobójstw na terenie Łodzi, i to zwłaszcza wśród młodzieży — powoduje, że podjęcie profilaktyki w tym zakresie jest sprawą palącą. Jeśli dodać, że w Poznaniu w czasie dwóch pierwszych lat działania Telefonu Zaufania udzielono blisko 12 tysięcy porad telefonicznych i że najczęściej korzystają z nich ludzie o wykształceniu podstawowym (36 proc.), to wydaje się, że Łódź ze względu na swoją specyfikę społeczno-zawodową jest miastem specjalnie potrzebującym tego rodzaju instytucji.

KATARZYNA BORUCKA
ANNA SZTAUDYNGER-KALISZEWICZ

FILM

UKŁAD

Nowym Światem nazwano ten kraj bardzo dawno temu, przez wieki ciągnęli doń ludzie z najróżniejszych zakątków Ziemi, szukający w nim dla siebie tej jednej wielkiej szansy. O tym marzeniu o szansie, w 1964 roku Elia Kazan zrealizował w oparciu o swą książkę film — „Ameryka, Ameryka". Była to książka i film autobiograficzny. Urodzony w Konstantynopolu, syn osiadłych w Grecji Ormian, znalazł się jako dziecko w Stanach, gdzie jego bliscy szukali nowego dla siebie miejsca na ziemi. Poznał smak sukcesów i porażek, którym tamten kraj gotuje szczególny wymiar. „Ameryka, Ameryka" była epopeą o drodze do wymarzonego celu — „UKŁAD" jest rozliczeniem tego celu.

„Amerykę, Amerykę" uznano za utwory autobiograficzne, „Układ" jest, zgodnie z deklaracją autora, dziełem podobnym, choć wymiar epicki „Ameryki, Ameryki" zamienił Kazan w „Układzie" na introspekcję psychologiczną. Jej jednakowoż celem jest znów dążenie do uogólnień. Kazan określił „Układ" jako alegorię dzisiejszej Ameryki, która „jak bohater utworu przeżywa silny kryzys, próbuje postawić znak zapytania wobec pewnych wartości: przerażającej mocy pieniądza, typowo zdradliwej moralności średniej burżuazji i jej przynależności kulturowej".

W wypadku tego filmu prawie nonsensem wydają się rozważania na temat wierności powieściowemu oryginałowi. A jednak, nie sposób nie zauważyć, że końcowe partie powieści niosą większą gorycz refleksji, pointują mocniej dzieje nieudanego buntu bohatera, wchodzącego w układ nowy w sposób nie budzący żadnych złudzeń. Może jest to wrażenie pozorne, jako że Kazan operuje w filmie skrótami, których gęstość znaczeniowa jest zamierzona i w końcu oczywista. Ona zresztą sprawia, że ekranowe dzieje Eddiego Andersona, człowieka, który „chciał umrzeć, by żyć na nowo" przemawiają silniej. Zarówno w powieści, jak i w filmie imponuje bezkompromisowa odwaga ich autora w odsłanianiu świata intymnego, który do spraw biologizmu i uczuć nie jest zresztą ograniczony. W filmie odnajdujemy całą namiętną pasję Kazana, który kreując swego bohatera, wypowiada sąd o życiu własnym, które jednakże daje się utożsamić z wieloma innymi. Filmowa opowieść zyskała na dramatyzmie w obrazowej kondensacji słowa, zyskała na cielesności, którą słowo, mimo swej drobiazgowej analityczności, uchwycić nie potrafiło. To, co w wielu partiach książki gubiło się często w wielosłowiu, Kazan z wirtuozerią zdołał zawrzeć w obrazach — znakach. Sposób przywoływania przeszłości (wśród niej na przykład cytat z „Ameryki, Ameryki"), kreowania teraźniejszości, rozmowy bohatera samego z sobą, (ryzykowne w pomyśle, znakomite w realizacji), cała sfera moralności — pozwala filmowej wersji „Układu" dać prymat w tym tandemie autorskiej wypowiedzi.

Większości czytelnikom obsadzenie roli Eddiego przez Kirka Douglasa wyda się przed obejrzeniem filmu zapewne pomyłką. Kazan zna jednak naturę kina i jego wybór okazuje się bezbłędny — Eddie Douglas posiada cechy, które dopełnia nasza pamięć osobowości fizycznej tego aktora sprzed lat kilku czy kilkunastu. Dzieje Eddiego to bowiem, poza wszystkimi ich znaczeniami uogólniającymi, czy, jak chce Kazan, alegorycznymi — to także bardzo intymny świat mężczyzny w ogóle. Kreacja Douglasa pozwala go lepiej rozumieć, tym bardziej, że partneruje jej znakomicie Deborah Kerr w roli Florence i Faye Dunaway jako Gwen.

Elia Kazan w całej swej twórczości, aż po pokazywanych na ostatnich Konfrontacjach „Gości" opisuje i interpretuje fenomen Ameryki. Jest w tym działaniu dociekliwy i bezkompromisowy, stara się być sumieniem kraju, który przecież wybrał jako swój. W „Układzie" demistyfikuje marzenie, które było udziałem „Ameryki, Ameryki" — szansa okazała się klęską, zdobycie celu, którym jest „posiadanie", to zatracenie siebie, swojego „ja". Sukces znaczy upadek, lecz z układu wychodzi się, gdy się jest szaleńcem.

JEŚLI CHCECIE, ZOBACZCIE...

„WYNAJĘTY CZŁOWIEK" — psychologizujący western, to reżyserski debiut aktora Petera Fondy, syna Henry'ego Fondy i brata Jane Fondy. Nieznany u nas jeszcze Peter gra przy tym jedną z głównych ról w tej opowieści o dwu kowbojach-przyjaciołach, z których jeden staje przed wyborem — dochować wierności rodzinie czy przyjacielowi.

„TAJEMNICA ALEKSANDRA DUMASA" — zaciekawi nie tylko miłośników twórczości autora „Trzech muszkieterów". Ten barwny, kostiumowy film zrealizował jeden z najwybitniejszych przedstawicieli czeskiego kina — Karel Kachyna, który potrafił z biograficznej opowieści przydać wiele niebanalnych uroków, poza tymi, które niesie bujne życie Aleksandra Dumasa, często równie ciekawe, jak bohaterów jego powieściowych romansów.

EWA NURCZYŃSKA

FOTOGRAFIA

Andrzej Różycki

Drzewo sfotografowane z czterech stron — więc cztery konterfekty tego samego drzewa. Autoportret pocięty na kwadraty i „źle" złożony — przypomina to dziecięcą zabawę klockami, na bokach których naklejone są fragmenty obrazków. Trzeba z nich złożyć całość: krowę, psa, kozę, kaczkę... dziecko myli się, koza ma psi ogon, krowie rogi zamiast wymion i kacze łapy. Zdjęcie okna w starej ruderze, na nie naklejone gazety i podpis: „Teraz jest prawo". Zdjęcie okna z nalepionymi, „prawdziwymi" firankami z gazy. Podpis: „Wieszanie jest dobre". Zdjęcie dwóch stron z książki „Ulisses". Kilkanaście zdjęć tej samej maszyny do pisania (zreprodukowane z innego zdjęcia) — na każdym jedna literka odręcznie napisana czerwonym. Całość układa się w elementarne zdanie: „Ala ma kota". Tak mniej więcej w skrócie wygląda **„fotografia warunkowa"** Andrzeja Różyckiego. I właściwie na tym należałoby poprzestać, bo niewiele jeszcze można dodać. Chyba to, że wystawa podana jest arcynieporządnie, że poszczególne fotogramy są brudne, a ich elementy odklejają się, że autor zapomniał, iż przy tego rodzaju zabawie niechlujstwo jest błędem rażącym. Być może jednak sam jestem w błędzie i takie właśnie są zasady **„fotografii warunkowej"**. Może także warunkiem owej „fotografii warunkowej" jest również brak **dobrej fotografii**. Na dobrą sprawę, takowe collage fotograficzne, jakie pokazuje Andrzej Różycki, takie łączenie fotografii z przedmiotem „obcym" — gazetą, gazą itp. można uprawiać w nieskończoność, zabawa zupełnie sympatyczna, a sedno dowcipu leży w wymyślaniu tytułów. Im bardziej karkołomne — tym więcej radości.

Nasuwa się jednak nieuchronne pytanie — po co? Skoro wszystko jest pustym dźwiękiem, skoro przyjemność jest jednorazowa i zresztą bardzo problematyczna, więc: po co? Poza tym sama rzecz nienowa, a stwierdzam z całą pewnością, że zrobiona gorzej. Ale powtarzam — **być może „fotografia warunkowa" rządzi się prawami zgoła innymi, niż fotografia artystyczna i dzieło sztuki w ogóle.** Może w **„fotografii warunkowej"** Różyckiego kryją się jakieś głębie filozoficzno-intelektualne obok walorów estetycznych, których ja nie jestem w stanie dostrzec ani pojąć. Jeżeli tak jest istotnie, to pozostaje mi tylko cieszyć się, znam bowiem inne zdjęcia Różyckiego i wiem, że potrafi on fotografować.

A. G.

TV
KILKA CIEKAWYCH PROPOZYCJI

„Dokument liryczny" wg Maksyma Gorkiego wzbudza dość różne refleksje. Dobrze, że teatr TV przed 1 Maja sięgnął po tę klasyczną pozycję sztuki rewolucyjnej, jaką jest powieść Gorkiego „Matka". Utwór, do którego wielokrotnie odwoływali się twórcy teatralni i filmowi, m. in. Pudowkin i Bertolt Brecht (fragmenty filmu Pudowkina zostały nawet wmontowane do spektaklu).

Przedstawienie było dziełem Lidii Zamkow (scenariusz i reżyseria) znanej z wielu głośnych i kontrowersyjnych inscenizacji. Do takich chyba również trzeba zaliczyć „Dokument liryczny". Przedstawienie zostało przygotowane z rozmachem, z użyciem środków inscenizacyjnych o dużej ekspresji. Ciekawą propozycję aktorską zaproponowała Mirosława Dubrawska w roli Matki. A jednak? Myślę, że zamysł autorski Lidii Zamkow nie sprawdził się całkowicie, gdyż weszła na teren, na którym nie czuje się najlepiej. Mam na myśli ów balladowy ton i klimat tak charakterystyczny dla rosyjskich autorów i twórców teatru i filmu. Są w tym niedoścignionymi mistrzami, jest to ich żywioł i tradycja. W przedstawieniu Zamkow tego właśnie brakło, jej reżyserski temperament nie mieści się w tej konwencji. I niepotrzebnie podjęła się tej próby. A przecież uniwersalistyczny wymiar prozy Gorkiego pozwala wyrazić ją środkami, które wynikają z naszej tradycji i którymi nasi twórcy posługują się doskonale.

W sumie jednak był to spektakl udany i potrzebny. Mówi bowiem o czasach i problemach, do których zawsze będziemy wracać.

Pamiętamy Andrzeja Łapickiego sprzed kilku lat w sympatycznym cyklu Williama Saroyana „Cóż to za pomysł, tato?" Ostatnio zobaczyliśmy go w podobnej roli w sztuce tego samego autora „Moje serce jest w górach". Ta wzruszająca opowieść o ojcu i synu, którzy żyjąc w jakimś zapadłym kącie na kredyt u Pana Boga, potrafią w swej egzystencji znaleźć jakiś głębszy sens. Mimo biedy, gdyż ojciec-poeta praktycznie nic nie zarabia, potrafią zachować pogodę ducha i życzliwość dla ludzi, którzy ich nie rozumieją. I wiele serca dla tych, którzy ich potrzebują, jak stary Jasper McGregor, aktor, który ucieka z domu starców, który już nie ma swego miejsca na ziemi, bo „jego serce jest już w górach". Tam, gdzie są serca wszystkich dobrych ludzi, którzy zakończyli swą ziemską wędrówkę.

Powrót do dzieciństwa to stały motyw w twórczości wielu pisarzy. U Saroyana jest on prawie obsesją, ale obsesją, którą akceptujemy. Jest w tych powrotach bowiem piękna potrzeba odwołania się do świata niczym nie skażonego, dobrego, w którym dominuje liryzm i poezja codzienności, w którym CZŁOWIEK DLA DRUGIEGO CZŁOWIEKA JEST CZŁOWIEKIEM. Rzadko chyba kto obserwował ten spektakl bez wzruszenia i zadumy, bez refleksji już w odniesieniu dla naszej codzienności, do pospiesznego rytmu naszego życia, w którym często o tych najprostszych prawdach zapominamy.

W tym również widziałbym wartość sztuki Saroyana, którą przygotował bardzo dobrze Jan Skotnicki (n.b. były Łodzianin), również autor przekładu. Udany też był występ Piotrka Sobieskiego, w roli wcale niełatwej. Kto wie czy kiedyś nie wyrośnie z niego świetny aktor? Janusz Kłosiński w roli starego aktora z trąbką był bezbłędny i szczerze, bez ckliwości, wzruszający.

Po ostatniej „Kobrze". może nawet gorszej niż poprzednie propozycje z tego cyklu, będziemy chyba wreszcie mieć sensację w Teatrze Sensacji. Tak się przynajmniej zapowiada po pierwszym odcinku „Akcji V" Jerzego Janickiego.

Jeśli ten mini-serial się sprawdzi, to poleciłbym autorom Teatru Sensacji zastanowienie się nad tą sprawą i wyciągnięcie z niej praktycznych wniosków. Jeśli nam się te bez mała wszystkie nieszczęsne „Kobry" nie udają, nie ma odpowiednich tekstów, to istną kopalnią tematów są właśnie historie i sprawy, po które sięgnął Jerzy Janicki. Po karierze Klossa, po sukcesach wydawniczych „tygrysów" — wiadomo, że widzowie to kupią.

JAROSŁAW TARNO

PLASTYKA

Gielniak

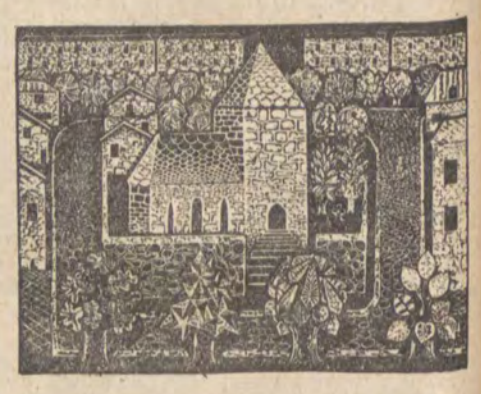

„KOWARY" (linoryt)

„WNĘTRZA" (linoryt)

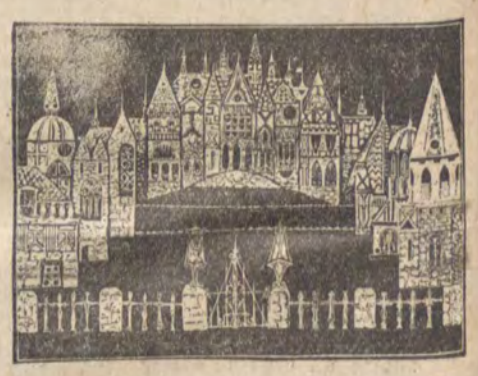

„SANATORIUM" (linoryt)

„Słyszałem w radio ze Sztokholmu występ kwartetu Don Cherry'ego — awangardzisty! Wielkie wrażenie — były momenty ogromnie ekscytujące! A Albert Ayler na sax.! — gdybym miał określić brzmienie jego saksofonu, powiedziałbym, że jego pierwowzorem jest ryk osła! bardzo przejmujący chwilami ryk! I chyba Ayler zrobił na mnie największe wrażenie".

Z listu Józefa Gielniaka do Henryka Płóciennika.

Kolejną wystawą prezentującą tendencje nadrealne i metafizyczne w polskiej sztuce współczesnej jest ekspozycja grafiki Józefa Gielniaka, pochodzącej ze zbiorów prywatnych Leszka Rózgi, Władysława Śmigielskiego i Henryka Płóciennika (linoryty, rysunki, exlibrisy). Nie żyjący już artysta, przykuty ciężką chorobą do jednego miejsca, do sanatorium „Bukowiec" pod Kowarami, utrzymywał szerokie kontakty z ludźmi „z zewnątrz". Z „Bukowca" szły w świat listy pełne głębokiej treści, wnikliwych refleksji nad życiem i sztuką. Przesyłki zawierające listy najwspanialsze i najwięcej mówiące — z odbitkami linorytów dla przyjaciół, dla ludzi, z którymi Gielniaka łączyła wspólnota duchowa. Ze świata płynęły do „Bukowca" listy, płyty, książki, obrazy od ludzi życzliwych i zafascynowanych sztuką i osobowością niezwykłego człowieka. Mimo przymusowego odosobnienia Gielniak czuł się przecież obywatelem świata, chciał uczestniczyć w jego życiu, jego sprawach i uczestniczył rzeczywiście. I tak z „Bukowca" ponad chorobą, cierpieniem, ponad nędzą ludzkiej egzystencji przerzucone zostały mosty duchowej wspólnoty, duchowej więzi. Korespondencja Gielniaka z przyjaciółmi i ludźmi mu życzliwymi jest czymś wyjątkowym, niepowtarzalnym. Porusza nas jej wszechstronność, jej głębia, skala zainteresowań i odczuć. Gielniak jawi się nam jako człowiek o wielkiej wrażliwości i refleksyjnym umyśle. Jako natura kontemplacyjna, tkwiąca przecież w realnym świecie codziennych spraw, buntująca się do końca przeciw chorobie i niemocy, lecz bez histerii, bez zbędnej dramaturgii, bez reżyserii własnych przeżyć. I to jest chyba najbardziej zdumiewające, że człowiek ten, przez los tak ciężko doświadczony, zdobywa się na tyle niepowierzchownego optymizmu, na tyle wiary w sens sztuki i sens życia, że wreszcie zdobywa się na niebywały trud tworzenia. Życie i twórczość Józefa Gielniaka, to piękna karta polskiej sztuki, zapisana znakami najczystszego humanizmu.

Z okazji wystawy Gielniaka wydany został obszerny katalog, zawierający obok reprodukcji, fragmenty listów do Rózgi, Płóciennika i Śmigielskiego — łódzkich przyjaciół artysty.

Na marginesie wystawy grafiki Józefa Gielniaka w Salonie Sztuki Współczesnej.

ANDRZEJ GRUN

Obywatelka Operetka

Byli mistrzami radości, śmiechu, szczęścia, wzruszającej rozrywki; Offenbach, Lehar, Suppe, Kalman, Dunajewski, J. Strauss, O. Strauss i inni klasyczni mistrzowie operetki — sztuki metaforycznej, trochę patetycznej, w której nie zawsze logika libretta była kluczem uniwersalnym. Rolę dominującą odgrywała muzyka, przepiękna muzyka „Wiedeńskiej krwi", „Pięknej Heleny", „Czaru walca",, „Orfeusza w piekle", czy „Madame Pompadour". Zastanówmy się więc dokąd zmierza w erze podboju kosmosu szacowna Madame Operette?

Jedną ze specyficznych cech operetki jako genréu od Offenbacha do Kalmana była bezwzględna styczność jej muzyki z muzyką taneczną swoich czasów. Czy dzisiejszych dwudziestolatków wychowanych na współczesnych stylach dynamicznej muzyki rozrywkowej potrafią wzruszyć dramaturgiczno-wokalne perypetie **„Hrabiego Luksemburg", „Balu w Sawoyu"?** Czy potrafi ich zachwycić muzyka zawarta w pseudoorientalnym wykwintnym salonowym sosie **„Krainy Uśmiechu"** lub **„Bajadery"?**

Operetka nadal cieszy się dużym powodzeniem, lecz jej popularności nie można chyba uważać za ideał. Dzisiejsza operetka ta współczesna, (która właściwie nie istnieje), nie znajduje wspólnego języka z muzyką na co dzień, z tą muzyką, która rozbrzmiewa z odbiornika radiowego, ekranu telewizora, estrady rozrywkowego koncertu itd.

Co więc będzie dalej z operetką? Przeciwnicy mówią **musical.** Musical, który w szaty nowoczesnej offenbachiady ubiera klasyczne dzieła literatury światowej, a nawet ironiczno-satyryczną filozofię Woltera (Kandyd), oprócz tradycyjnych kupletów, mazurków, walców serwuje współczesnemu widzowi jazz, rock, bossanovę, song estradowy, wszelkie odmiany impulsywnych rytmów latyno — amerykańskich itp. Przeciw skostnieniu gatunku operetki występują wszyscy zainteresowani nowymi prądami: reżyserzy, autorzy, kompozytorzy, choreografowie i... widzowie. Musicalowe nowości lat czterdziestych: **„Kiss me Kate"** (wg. „Poskromienia złośnicy" — Szekspira), **„My Fair Lady"** (wg „Pygmaliona" — Bernarda Shaw), **„West Side Story"** (wg. „Romea i Julii" — Szekspira), **„Candide"** (wg. Voltai'rea), stają się w latach sześćdziesiątych godnymi klasykami, a ze starych korzeni wyrastają nowe gałęzie, jak chociażby słynne **„Hair"** czy **„Oh, Calcutta"**, czy **„Jesus Christ Superstar".**

W musicalu podstawowa formuła układu operetkowego jest jedynie technicznym środkiem pomocniczym. Nie pochodzi on od operetki i nie jest — jak powszechnie, mylnie się sądzi — jej kontynuacją. Musical rozumiem więc nie jako przedłużenie starej mieszczańskiej operetki, kontynuowanej innymi środkami, nowoczesną formą, lecz w istocie swej jest on nowym gatunkiem scenicznym, zyskującym na ciężarze gatunkowym tematem, substancją muzyczną i materiałem bliższym realiom życia i nie zawężonym formalnie. Takie songi, jak **„Gee, Officer Krupke", „America"** są gorzko satyrycznymi rozprawami na temat kraju, którego symbolem jest statua wolności, a sekwencje baletowe **„Coll"**, czy **„Somwhere"** akcentują społeczno-polityczną wymowę dzieła. Oczywiście brednią byłby sąd, że musical jest formą tzw. sztuki zaangażowanej. Problemy współczesności dominują w nim, chociaż chętnie sięga do klasyki, a najczęściej do szekspirowskich dzieł. William Szekspir „współpracował" już, jako librecista z **Bellinim, Berliozem, Verdim, Gounodem,** jego dzieła stanowiły również znakomitą bazę dla musicali. Kiedy **Rogers i Hart** na podstawie szekspirowskiej **„Komedii omyłek"** stworzyli słynny **„The Boys form Syracuse"** pojawiło się trochę krytycznych ocen na temat tzw. szargania świętości. Jestem zdania, że co do systematycznego wykorzystywania dzieł literatury klasycznej dla sceny muzycznej trzeba zachować maksimum taktu. Ale jeśli nie ma utalentowanych librecistów?

Próby wprowadzenia w Polsce musicali do teatrów muzycznych kończyły się, jak dotąd — poza nielicznymi wyjątkami — niepowodzeniem. Tak więc w Polsce inwazja musicalu — mimo społecznego zapotrzebowania — nie grozi z kilku powodów.

PO PIERWSZE: nie mamy kompozytorów, którzy zgodziliby się tworzyć musicale. Niżej symfonii nie zejdą, bo inaczej ich nazwiska mogą nie trafić do „Almanachu współczesnych kompozytorów polskich". Swoją drogą ciekaw jestem, czy Związki Kompozytorów Polskich i Związek Literatów Polskich wykluczyłby ze swoich szeregów szaleńców, którzy wzięliby na musicalowy warsztat np. „Pana Tadeusza"?

PO DRUGIE: nie mamy orkiestr i solistów. Żadna z naszych krajowych orkiestr teatralnych nie opanowała specyficznego soundu i beatu nowoczesnej muzyki rozrywkowej i jazzowej do tego stopnia, aby oddać w miarę wiernie lekkość muzyki **Loewego, Portera,** czy **Berlina.** Wychodziły na jaw kolosalne trudności w doborze aktorskiej obsady, bowiem tradycyjny system szkolenia naszych wokalistów operowych i operetkowych pozbawił ich koniecznego w musicalu wokalnego ujazzowienia, wyczucia rytmu i swingu.

KOLEJNĄ TRZECIĄ trudnością w adaptacji musicalu na krajowych scenach były nie najlepsze tłumaczenia tekstów, a zwłaszcza zaopatrywanie songów musicalowych prostymi rymami charakterystycznymi raczej dla operetki. Całkowitą natomiast klęską były tzw. musicale krajowe, tworzone przez rodzimych autorów. Typowym przykładem złej roboty może być np. **„Miłość Szejka"** ze swą taniutką filozofią życiową.

Tak więc problem niepowodzeń artystycznych (często nie idą one w parze z sukcesem kasowym) leży w naszej tradycji muzycznej wywodzącej się już ze szkół muzycznych. Artyście operowemu „nie przystoi" śpiewać w musicalu, a poza tym sądzi się powszechnie, że wykonywanie lekkich songów musicalowych, może zniekształcić przyszły rozwój talentu artysty. Takimi „bzdetami" skompromitowanymi na całym świecie karmiło się na co dzień w naszych uczelniach artystycznych i aż dziw bierze, że nie możemy dochować się rodzimej **Joan Sutherland, Marii Callas, Barbry Streisand,** czy też **Anny Moffo.**

Barbra Streisand, gdyby mieszkała w Polsce musiałaby śpiewać w „Carmen", gdyby wykonywała inne lżejsze formy sceniczne otrzymałaby wdzięczny pseudonim „chałturszczika". A tak skończyła szkołę dramatyczną, studio operowe, śpiewała w operze i kiedy krytycy uznali ją talentem operowym wystąpiła nieoczekiwanie w musicalu **„I Can Get It For You Wholesale"** i już do opery nie wróciła. W 1963 r. została najlepszą... piosenkarką roku.

Ciągle jeszcze u nas pod musicalem rozumie się lekko zmodernizowany rodzaj operetki np. **„Kariera Nikodema Dyzmy"** i inscenizuje się go też w podobny, konwencjonalny sposób. Droga teatru muzycznego wiedzie od musiquette, comedie dell'arte, opery, operetki, do musicalu. Cancan przemienia się w walca, walc w balladę, ballada w jazz, a jazz w beat. Przez sceny operowe przewinęło się tysiące zakochanych lirycznie lub dramatycznie, tysiące Romeów i Julii, Tristanów i Izold, oglądaliśmy tysięczne edycje śmierci Carmen, zamordowanej przez Don Josego, wzruszała nas Tosca, rzucająca się z wysokich murów zamku św. Anioła w Rzymie, dwukrotna śmierć Eurydyki, samobójstwo Lakme, życie i śmierć Violetty Valery.

Murzyńska opera „Porgy and Bess"

Przez sceny operetki przewinęło się tysiące baronów cygańskich, księżniczek czardasza, hrabiów Luksemburg i szumiała wiedeńska krew w życiu paryskim. Stereotypy i bezsens. Kiedy Alfredo mówi o miłości do Rosalindy w **„Zemście Nietoperza"** brzmi to tak: „Rosalindo — kocham cię, nad życie". Dobre, co?

Natomiast Chris ze **„Zbiega z Alcatraz"** mówi o miłości do Walkera po spędzonej wspólnie nocy: „Walker, czy znasz moje nazwisko"? Ten jej odpowiada: „Chris, a czy ty znasz moje imię"? Mnie to wystarczy, reszty nie trzeba.

Nie przekonuje mnie mieszczański zapach i kult malutkiego szczęścia wiedeńskiej operetki, nie przekonuje mnie intensywność uczuć przekazana przez wokalistę w arii operetkowej, ale może mnie przekonać talent **Muslima Magomajewa,** czy **Bagłajenki** śpiewających zarówno arie operowe, operetkowe, pieśni estradowe, jak i współczesną pop — music. Może mnie przekonać również musical **„West Side Story",** który jest dokumentem epoki, bez względu na to czy wynosi się go pod niebo, czy też zaprzecza mu jakichkolwiek wartości. Bardziej niż perfumowany aromat **„Zemsty Nietoperza"** przekona mnie murzyńska, nędzarska opera **„Porgy and Bess"** ze swymi prześlicznymi songami **„Summertime"** lub **„Bess, Oh Where's My Bess"?**

Długą drogę przebyła operetka od drewnianej budy Offenbacha do wiedeńskiego Dunaju i paryskich Champs Elysees. Krótka natomiast była droga musicalu od „The Governors Son" (1901 — autor: Georg M. Cohan) pierwszej musical comedy, przez gershwinowską operę ludową, do „Oh, Calcutta". Ale i tak okazała się ona za długa np. dla łódzkiego Teatru Muzycznego, który nadal robi do nas perskie oko spod wąsów i peruk „Nicole", „Nitouche"... i już.

ANDRZEJ JÓŹWIAK

Heinrich Vogeler

Gdy miał lat 23 był już sławny i ceniony jako malarz i grafik. Heinrich Vogeler urodzony w Bremie w 1872 roku w rodzinie zamożnego kupca, rozpoczyna swą twórczość malarską pod wyraźnymi wpływami angielskich prerafaelitów. Było to malarstwo nawiązujące do tematów biblijnych, poematów Dantego, wzorujące się na włoskiej sztuce XIV i XV wieku. Później Vogeler tworzy w stylu secesji, a jego malarstwo i grafika tak bardzo trafiają w ówczesne gusta, że w krótkim czasie zdobywa wiele zamówień i pieniędzy. W pierwszych latach naszego wieku Vogeler uważa się przede wszystkim za grafika. Do roku 1902 zilustrował dziewiętnaście książek, zaprojektował 25 ex libris'ów, był grafikiem miesięcznika „Insel" (Wyspa). Nie gardził tzw. sztuką użytkową. Projektował meble, wyroby z porcelany i szkła, sporządzał wzory dla sztućców i biżuterii. W latach 1903—1905 urządził jedną z sal bremeńskiego ratusza projektując wszelkie detale do wzoru tapet włącznie. Interesował się architekturą i planowaniem ogrodów. Podróżował do Anglii by zaprojektować osiedle robotnicze w pobliżu Liverpoolu. Projekt nie został jednak przyjęty. W Worpswede pod Bremą wzniesiono budynek dworcowy według planów architektonicznych Vogelera. Dworzec ten zachował się do dziś w niezmienionej formie.

W roku 1899 pragnął zabłysnąć jako poeta. Wydał tom wierszy pt. „Tobie". I rzeczywiście. Zbiór poematów zyskał uznanie i poczytność. Do roku 1922 rozprzedano go w ilości ośmiu tysięcy egzemplarzy.

W roku 1895 młody, ubierający się z wytwornością dandysa, sławny już i bogaty Heinrich Vogeler osiada w tzw. Barkenhoff, starym wiejskim dworze w Worpswede.

Potem wszystko się zmienia gruntownie i sam Vogeler i jego twórczość, i otoczenie. Około roku 1910 rozstaje się, po dziesięcioletnim pożyciu, z żoną. Równocześnie z powikłaniami rodzinnymi, Vogeler wpada w kłopoty finansowe. Nadchodzą bowiem lata kiedy następuje zmiana gustów i upodobań, a secesyjna twórczość Vogelera przestaje się podobać. Artysta traci zamówienia. W tych to latach przypadkiem wpadają mu do rąk dzieła Maksyma Gorkiego. Jego książki — napisze później Vogeler — „wstrząsnęły mną do głębi. Otworzyły mi wrota poprzez które spojrzałem w inny świat, tak daleki od mego prywatnego życia, jak i od mojej sztuki. Jasno zdałem sobie sprawę z niepełnowartościowości mego życia".

W kilka lat potem wybucha pierwsza wojna światowa. Vogeler zgłasza się do wojska jako ochotnik. I na froncie, w czasie Rewolucji w Rosji i zaraz po Rewolucji Vogeler przeżywa zasadniczy przełom duchowy. Pisuje i rozpowszechnia druki przeciw wojnie i niemieckiej machinie militarnej.

Gdy kończy się wojna, Vogeler jest w Bremie. Zostaje wybrany do Rady Robotniczej i Żołnierskiej. Barkenhoff przemienia w azyl dla jeńców wojennych i rewolucjonistów. W rok później Barkenhoff przemienia się w Komunę, w której wszyscy, tak robotnicy jak i intelektualiści pragną żyć utrzymując się z pracy własnych rąk. Vogeler staje się teraz zapalonym propagatorem idei socjalistycznych pisząc i publikując liczne broszury. Komuna w Barkenhoff staje się wkrótce głośna. Interesują się nią niemieccy lewicowi intelektualiści.

Później Vogeler wyrazi się o założonej przez siebie komunie, że była „utopią wewnątrz kapitalistycznego społeczeństwa". W roku 1923 Vogeler wstępuje do Komunistycznej Partii Niemiec, a Barkenhoff przekazuje jako miejsce wypoczynku dla dzieci więźniów politycznych. Ściany hallu (4 metry szerokiego, 10 metrów długiego i 3 metry wysokiego) w budynku w Barkenhoff, Vogeler pokrywa w latach 1920—1926 freskami, które wyobrażają rewolucyjną walkę klasy robotniczej, życie ludów kolorowych, los więźniów politycznych w Niemczech oraz wychowanie i kształcenie dzieci w społeczeństwie wolnym od wyzysku kapitalistycznego. Władze niemieckie nakazują zamalowanie tych fresków. Podnoszą się jednak protesty wybitnych, postępowych intelektualistów niemieckich i freski pozostawiono w spokoju. Zniszczyli je później hitlerowcy w roku 1939.

W roku 1923 Vogeler był po raz pierwszy w Związku Radzieckim. Wraca następnie do Niemiec lecz wkrótce, bo w latach 1926/27, znowu jest w ZSRR. W roku 1931 Vogeler po raz ostatni odwiedza Barkenhoff, potem wyjeżdża do Związku Radzieckiego, by pozostać już tam na stałe.

Gdy w roku 1941 Hitler napadł na Związek Radziecki, Vogeler mając wówczas prawie siedemdziesiąt lat zgłasza się do Armii Czerwonej jako ochotnik. Z powodu podeszłego wieku nie zostaje przyjęty. Pisuje więc odezwy, sporządza propagandowe rysunki. Na jesieni, gdy zbliża się front, wyjeżdża do Kazachstanu. Tam w wieku lat siedemdziesięciu umiera w jednej z wiosek w pobliżu Karagandy.

Życie i twórczość Vogelera, którego setna rocznica urodzin minęła w zeszłym roku, budzi obecnie żywe zainteresowanie także i w NRF. Dzieła z późniejszego okresu życia Vogelera zostaną wkrótce pokazane w Niemieckiej Republice Federalnej na szeregu wystawach. Postać Heinricha Vogelera jako człowieka, działacza politycznego i artysty przypomniał ostatnio m. in. hamburski „Zeit Magazin", kolorowy dodatek tygodnika „Die Zeit". Znajdujemy tu artykuł pióra Eckarta Klessmanna i kilka barwnych reprodukcji obrazów Vogelera od prac z młodości aż do ciekawie skomponowanego obrazu ilustrującego sceny z życia i pracy ludów ZSRR.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZESZŁOŚĆ teraźniejszość

BŁĘKITNE TĘSKNOTY

W menu świątecznego numeru warszawskiej „Polityki" (Nr 16) znajdziesz rarytas prawdziwy, coś jakby homara bądź ostrygi, w dodatku przyprawione zgoła politycznie. Pismo stawia przed nami zagadnienie wagi bez mała historycznej: „życie książąt oraz hrabiów w PRL". Pani Małgorzata Szejnert rozwija je na siedmiu stronach swego fascynującego reportażu „Mitra pod kapeluszem" i na tym jeszcze nie koniec, skoro redakcja zapowiada, że dopiero następny numer przyniesie jego zakończenie. Polityczny sens tej publikacji został określony już na wstępie: autorka wyraziła tu przekonanie, że „pogmatwane losy" byłych arystokratów „są tak samo zwierciadłem historii Polski Ludowej, jak losy wszystkich ludzi". Uczmy się więc, maluczcy, jak to przez historię książąt i hrabiów wiodła prosta droga do PRL, przekonajmy się z autorytatywnej wypowiedzi, że błękitnokrwiści to także ludzie, czasem nawet zwyczajni. Każdy politycznie wyrobiony obywatel PRL wiedzieć o tym musi, jak musi przynajmniej raz w tygodniu — zgodnie z enuncjacjami samej „Polityki" — czytać wszystko, co zjawi się na jej łamach. Nie ma tu jednak żadnego przymusu: w zależności od światopoglądu może to czynić w ten, bądź inny dzień powszedni, lub świąteczny.

Zainteresowania redakcji warszawskiego periodyku dla błękitnokrwistych datują się zresztą nie od dziś. Przed kilkoma laty na tych samych łamach mieliśmy okazję czytać wypowiedzi samego Janusza Radziwiłła, tego właśnie, który — cytuję podpis pod publikowanym przez „Politykę" zdjęciem — „póki żył, pełnił rolę szefa arystokracji rodowej w Polsce". A więc są to w „Polityce" zainteresowania trwałe. Z całą pewnością nie pochodzą one z czyichś tam rodzinnych sentymentów, bowiem redakcyjna „stopka" tygodnika, gdzie wyliczono skład kolegium, nie zawiera ani jednego arystokratycznego nazwiska. Jeżeli więc nie prywata (termin historyczny — dość często kojarzony z arystokratami), to w takim razie mamy prawo mniemać, że za poświęceniem tym sprawom tyle miejsca i uwagi przemawiały jakieś wyższe racje. Zapewne były to racje natury politycznej, do których tak często odwołuje się warszawskie czasopismo, zapewne też były to racje zgodne z tym hasłem, które otwiera każdy jego numer i zaczyna się od słowa: „Proletariusze...". Dalej jak wiemy. Wybaczcie, że nie przytaczam go w całości. Nie wiem, jak się ono ma do „Życia książąt oraz hrabiów w PRL", z którym sąsiaduje na pierwszej stronie czasopisma.

Właściwie rzecz cała nadawałaby się do rubryki „Coś z życia", zdobiącej ostatnią stronę „Polityki", oczywiście gdyby nie ona sama była jej sprawcą. Byłoby tak, gdyby... nie sprawa, która nie może być — przynajmniej w naszym przekonaniu — całkiem obojętna dla naszego historycznego oraz... (niechaj wybaczy mi „Polityka", że wkraczam na zastrzeżony teren) politycznego myślenia. Ostatecznie bowiem to, że jakieś grono czytelników dostanie wypieków na twarzy czytając o burzliwych dziejach Radziwiłłów, Zamoyskich i innych jeszcze błękitnokrwistych, nie ma większego znaczenia, chyba że dla sprzedawców herbowych sygnetów i byłoby niesłuszne, gdybyśmy całą tę sprawę starali się wyolbrzymić. Idzie mi jednak o to, że epatowanie arystokratycznymi nazwiskami tych, którzy niegdyś „tworzyli historię", w takim kontekście, jak to czyni „Polityka", może prowadzić do ugruntowania w świadomości ludzkiej fałszywego schematu, jakoby Polska minionego międzywojennego dwudziestolecia była państwem rządzonym przez owych „książąt oraz hrabiów", słowem miała kształt jeszcze feudalny, na wzór dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Nie trzeba być zawodowym historykiem aby wiedzieć, że arystokracja jako nieliczna, zamknięta grupa społeczna o określonym prestiżu, była już w owych czasach bardziej dekoracją, niż ostoją przedwojennego ustroju, że jej rola — pomijając niektóre wyjątki — stawała się coraz mniejsza, że wreszcie... rewolucja, jaka się dokonała w naszym kraju, choć często i ze zrozumiałych względów głosiła walkę z „błękitnokrwistymi", przecież burząc to wszystko, co stanowiło podstawę burżuazyjnego systemu społecznego, uderzała nie tyle w to, co marginalne, lecz przede wszystkim w to, co było u nas realną podstawą kapitalizmu. Socjalizm stawał do walki z burżuazyjnym systemem społecznym, pod niektórymi względami u nas jeszcze niekiedy pół-feudalnym, ale od dawna nie feudalnym w pełni. Toczył walkę nie z czymś, co już na sto lat wcześniej byłoby anachronizmem, ale z realnym i — co tu ukrywać — bardzo potężnym przeciwnikiem, którego arystokraci byli jedną, wcale nie najsilniejszą z podpór. I dlatego, jeżeli „polityczne" względy nakazują „Polityce" ukazywać, że „w dzisiejszej Polsce każdy jakoś się lokuje" to wielekroć ważniejsze wydawałoby się pokazanie, jak ulokowali się w niej przedstawiciele tych sfer, które rzeczywiście, a nie na niby, sprawowały władzę w przedwojennej Polsce, więc kręgów burżuazyjnych, przemysłowych, bankierskich itd. Rezultaty publicystycznego sondażu — gdyby poszedł on w tym kierunku — byłyby jeszcze bardziej zaskakujące czytelnika, niż w przypadku „książąt oraz hrabiów". Kto dziś bowiem pamięta, z jakim np. nazwiskiem kojarzy się „Banca Commerciale Italiana"? Przecież także... arystokratycznym!

LEKTOR

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

ZdarzeniA · I · ZwierzeniA

CZYM JEST PIOSENKA?

Wzorem mojego znakomitego kolegi, J. M. Rymkiewicza, który kiedyś zastanawiał się „Czym jest klasycyzm", chciałbym się zastanowić — czym jest piosenka?

Oczywiście wiadomo — rozrywką, gumą do żucia dla uszu, że sparafrazuję słynne powiedzonko o telewizji. Piosenka jest bowiem istotnie ową „gumą do żucia". Młodzi i nie tylko młodzi, mogą przy piosence odrabiać lekcje, czytać gazetę czy książkę, prowadzić rozmowy... A piosenka „leci".

Myślę jednak, że byłoby krzywdzące dla piosenki sprowadzanie jej wyłącznie do roli bezmyślnego przeżuwania melodii i tekstu. Piosenka jako zjawisko bardzo nam jakoś wyrosła, stała się instrumentem kształtowania gustów (a przynajmniej powinna nim być), nawet zawiera w sobie elementy propagandy. Ktoś ostatnio napisał, że piosenka bywa często publicystyką, satyrą, manifestem...

Przestała więc być tylko płochą zabawą — stała się czymś znaczącym. Nie dziwią dziś nikogo festiwale, które są ogólnonarodowymi igrzyskami na kształt wielkich festynów sportowych. W czerwcu i sierpniu w festiwalowe noce w całej Polsce jarzą się w milionach domów telewizory — wszyscy słuchamy Piosenki.

Nie dziwią dziś nikogo Giełdy Piosenki, Listy Przebojów, Kabarety Piosenki... Mnie osobiście dziwi co innego. Dziwi mnie, że w Łodzi nie ma jakiegoś forum, jakiejś agory dla piosenki. Nie ma jakiejś stałej Giełdy, Estrady, Studia... A przecież Łódź powoli — mimo naturalnej dominacji Stolicy — staje się piosenkowym mocarstwem. Przebój Roku „Nie bójmy się jesieni" napisał łodzianin, Ryszard Czubaczyński, nagrody i wyróżnienia w ostatnim konkursie na festiwal opolski zdobyli: Leszek Orlewicz, Tadeusz Dobrzyński, Cezary Juszyński — z Łodzi przecież. Stąd się wywodzą Framerowie, Krzysztof Cwynar, Zofia Kamińska; stąd się wywodzą kompozytorzy: Czesław Majewski, Włodzimierz Korcz. Tu powstała słynna „Białoczerwona" Marka Wawrzkiewicza, tu powstały piosenki Romana Gorzelskiego... Ten ostatni za „Białe konie" zdobywał nagrody na zagranicznych festiwalach.

Oczywiście nie sposób wymienić wszystkich — i nie o to chodzi. Nie wypisuję tu listy zasług, chodzi mi o zasygnalizowanie, jak aktywne środowisko twórców piosenki działa w Łodzi. Jest to fakt poza wszelką dyskusją.

W kręgu dyskusji bełta się natomiast od lat sprawa otwarcia w Łodzi Studia, Giełdy — po prostu stałej estrady piosenki. Rzecz właściwie dla mnie niezrozumiała. Są piosenkarze, są autorzy, jest bardzo dobry klimat w Łódzkiej Rozgłośni PR, gdzie red. Edward Dulski każdą dobrą, współczesną piosenkę przyjmuje życzliwie... Jest wreszcie publiczność, która na piosenkarski spektakl przyjdzie.

Są także odpowiednie lokale w centrum Łodzi, wyposażone w aparaturę nagłaśniającą. Ba, jest nawet w Łodzi Stowarzyszenie Muzyki Estradowej oraz Wydział Kultury... Wszystko jest. Tylko Studia Piosenki brak.

Jest nawet tradycja, bo przecież w Łodzi zaczynał swą piosenkarską (i poetycką) twórczość Julian Tuwim w kabarecikach Bi-Ba-Bo (w „Savoy'u") i w „Uranii" (na Cegielnianej). Ten ostatni przybytek piosenki prowadził zresztą ojciec słynnego potem gwiazdora lat międzywojennych — Eugeniusza Bodo. Słynny przebój paru pokoleń „Czarna Mańka" też powstał w Łodzi gdzieś w latach 1915-1918. Autorami jej byli: łódzki dziennikarz, Czesław Gumkowski i muzyk Feliks Halpern. A w ogóle przed sześćdziesięciu laty było w Łodzi parę niezłych scenek, na których rodziły się także piosenki. Było to dawno, ale z całą pewnością — prawda...

Po raz któryś z rzędu słyszę o współczesnych próbach animacji kabaretu piosenki. Ostatnio wieść gminna niesie, że Giełda Piosenki narodzi się w tym gmachu, w którym piszę te słowa — w Klubie Dziennikarza przy ulicy Piotrkowskiej 96. Wieść gminna precyzuje nawet termin: koniec maja. Miejmy nadzieję, że tak konkretna plotka przyoblecze się w realne kształty.

Naprawdę warto, aby tak się stało. Nie w imię tradycji, którą przywołuję tu pół serio — lecz w imię współczesności.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

SZCZĘŚLIWY MAK!

Przykład będzie z branży obuwniczej, ale to tylko przypadek. Równie dobrze mógłby być z każdej innej. Oto pewien niestrudzony racjonalizator zaprojektował nowy system zaopatrywania ludności w obuwie. Według tego systemu każdy obywatel zamawia obie w najbliższym sklepie — nie sklepie, kantorze — nie kantorze, biurze — nie biurze — takie obuwie, jakie mu właśnie przyszło do głowy, podając przy tym numer, tęgość, wysokość cholewki, kolor itd. Takie zamówienia mkną po fantastycznej sieci kabli i drutów do jednego centralnego ośrodka, gdzie uniwersalny komputer dokonuje selekcji i agregacji, po czym rozdziela zamówienia na zakłady produkcyjne w zależności od typu obuwia, sposobu montażu itp. Nowa sieć kabli i drutów rozprowadza pomiędzy producentów zlecenia produkcyjne, nowe komputery przeliczają obuwia na potrzebną ilość skór, podszewek, nici, oczek, gwoździ, kleju, maszyn, jeszcze inne włączają cały system zaopatrzenia w te wszystkie kleje, skóry, gwoździe, barwniki, sznurowadła, wysyłają zamówienia do producentów — w tym także do producentów na drugim końcu świata, bo przecież część materiałów zawsze pochodzi z importu, potem się to wszystko jakoś (projektant nie powiedział, jak) spotyka, zgadza, trafia, buty się robią — trzydzieści trzy miliony par, każda inna, rozchodzą się ślicznie do zainteresowanych i wszyscy są szczęśliwi. Oczywiście z wyjątkiem tych, którzy w międzyczasie przeniosą się na tamten świat, nie doczekawszy się zamówionej pary.

Projekt jest ewidentnym wytworem manii prześladowczej i myślenia magicznego i tak byłby potraktowany przez rozsądnych ludzi, gdyby nie to, że bardzo centralna jednostka otrzymała go od niezmiernie centralnej jednostki z poleceniem szczegółowego zapoznania się i zajęcia stanowiska. Widocznie niezmiernie centralnym jednostkom podobała się tkwiąca w projekcie zasada absolutnej centralizacji, centralizacji doprowadzonej do absurdu, centralizacji metafizycznej. Wszystko pochodzi od Boga. Wszystkimi nogami wszystkich obywateli powinien martwić się aż do najdrobniejszych szczegółów jeden arcymózg dopiero wtedy uniknie się błędów, strat, przecen, odcisków, remanentów i giełd kwartalnych. Drugi arcymózg powinien zająć się skarpetkami, trzeci — spodniami i tak dalej. A ponieważ skarpetki powinny pasować do spodni, spodnie do nóg, nogi do butów — więc jeszcze by lepiej było, gdyby te trzy arcymózgi zastąpił jeden super-arcymózg. I tak kolejno doszlibyśmy do koncepcji „jednego za wszystkich i za wszystko". Git, jak mówią Francuzi.

Sprawa jest może śmieszna, ale przecież „działaczy" o takim właśnie typie myślenia magicznego mamy wokół aż nadto. To nic, że w prasie czytamy ciągle o decentralizacji, o usamodzielnieniu, o prawie do decyzji. Praktyka bowiem jest taka, że coraz to bardziej szczegółowe, szczegółowe do granic prawdopodobieństwa, szczegółowe ponad wszelkie wyobrażenie sprawozdania przesyłane są coraz wyższym szczeblom z takim właśnie założeniem, że dopiero te wysokie szczeble będą wiedziały co dalej, dopiero one — po hipotetycznym zapoznaniu się z morzem informacji — podejmą właściwą, słuszną, jedynie słuszną decyzję.

Czytamy w prasie o decentralizacji, i czytamy, że już wkrótce wszystkie biura podróży zostaną zastąpione przez jedno biuro — „Orbis". Nie znam racji, przemawiających za takim rozwiązaniem. Wiem tylko, że jeśli kierownikiem ekspozytury monopolistycznego Orbisu w Zgierzu będzie pan Nowak, jeśli pan Pietrzak jako mieszkaniec Zgierza będzie mógł załatwić ewentualną podróż tylko przez właściwą komórkę Orbisu — czyli właśnie przez komórkę zgierską, jeśli pan Nowak przegrał z panem Pietrzakiem w brydża i nie zechce załatwić takiemu partnerowi spraw wyjazdowych, to pan Pietrzak nigdy nigdzie nie wyjedzie i kropka.

Nie będziemy też czytać pochwały wycieczki do Sofii, zorganizowanej przez Sports Tourist, i nagany co do wycieczki orbisowskiej bądź też odwrotnie. Wycieczka będzie jaka będzie, albo nie będzie jej wcale. Kropka.

Nie będziemy narzekać na usługi Orbisu w hotelach, na wczasach, w uzdrowiskach. Niech by kto spróbował ponarzekać — już go tam zapamiętają, tak jak zapamiętali mojego przyjaciela, który w pewnym lokalu poskarżył się na włos w zupie. Teraz dla niego nawet w szatni nie mają miejsca.

Za to — cóż za rozkosz — odpadnie konieczność wyboru i wszystkie związane z tym duchowe rozterki. Odpadnie potrzeba kalkulowania, porównywania, planowania, potrzeba narad rodzinnych, za którymi kryje się tyle potencjalnych niebezpieczeństw. Będziemy cisi i pokornego serca, taka jest bowiem dialektyka każdej monopolizacji, przepraszam: centralizacji. Taka mianowicie, że zamienia ludzi — w ziarnka maku w olbrzymim silosie. Być może, że te ziarnka maku są szczęśliwe. Być może.

ĆWIEK

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-103, telefony 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1016. T-11.